N. 40. WARSZAWA d. 25 Września (7 Października) 1871 ROKU.



TYGODNIK MOD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: *w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50.— Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15. —w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwart. złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia Nr. 956* (nowy 6) *dom narożny przy targu.*

LITERATURA HUMORYSTYCZNA

WE LWOWIE I KRAKOWIE.

(Dokończenie.)

Zmartwychwstanie Chochlika ucieszyło publiczność ale tylko na chwilę, bo wnet pokazało się, że tegoroczny Chochlik, wcale nie jest podobnym do poprzednich roczników. Dawniejszy Chochlik był pisemkiem nadzwyczaj wesołem, eleganckiem i sympatycznem. W tym roku zaś stanął przed publicznością z poważniejszemi pretensjami i chciał się przekształcić w pismo naukowo-literacko-humorystyczne. W ten sposób chciał Chochlik zaspokoić duchowe potrzeby tych czytelników, którzy posiadają wyższe wykształcenie, a na książki i pisma tylko szczupłą kwotę odłożyć mogą. Z góry można było przewidzieć, że pomysł ten, jakkolwiek bardzo szczęśliwy, nie da się we Lwowie wykonać. U nas bowiem najwyższa liczba prenumeratorów jest jeszcze tak nizką, że wtedy tylko zdoła pokryć koszta wydawnictwa i zapewnić wydawcy skromną nagrodę, jeżeli tenże przynajmniéj trzecią część każdego numeru zapełnić potrafi swojemi artykułami. Wydawca Chochlika nie mógł tego dokazać, bo program jego był tak różnorodny, że każdy niemal dział wymagał osobnego, fachowego współ pracownika. Na to niezawodnie nie wystarczył fundusz zakładowy i prenumerata Chochlika, więc pismo w połowie roku przestało wychodzić, do czego przyczyniło się trochę i nieregularne wydawanie numerów. Jestto tradycyjna a bardzo fatalna wada lwowskich pism humorystycznych, a poniekąd i literackich.

Nie wszystkie działy Chochlika miały prawdziwą wartość. Dział humorystyczny był niezawodnie najstaranniejszy i najlepszy. Poznać w nim było można wdzięczne pióro samego wydawcy p. Włodzimierza Zagórskiego. Przeglądy artystyczne miały także pewną wartość, ale zato kronika polityczna a często bardzo i lokalna, była tylko czczą gawędką.

Na tem kończy się cały zasób naszéj perjodycznéj literatury humorystycznéj. Ztąd do kronik niedzielnych jeden tylko krok, które tem się tylko różnią od perjodycznych publikacji humorystycznych, że nie istnieją odrębnie, lecz stanowią tylko świąteczny odcinek, każdego lwowskiego i krakowskiego pisma politycznego. *Kroniką lwowska* stała się już u nas właściwą nazwą stałego feiletonu humorystycznego, bez którego dziennik żaden obejść się nie może. Ten rodzaj świątecznéj rozprawy codziennych pism politycznych, wszedł najpierw w modę pomiędzy dziennikami lwowskiemi, a niebawem wpłynął zaraźliwie i na krakowskie pisma. Prądowi temu nie mógł się oprzeć nawet *Czas* krakowski, który ciągle zżymał się na brak powagi w traktowaniu spraw publicznych, aż w końcu widząc bezskuteczność tych utyskiwań, otworzył w szpaltach swoich miejsce dla tygodniowych feiletonów humorystycznych.

W jednéj z gazet nowość tego rodzaju przed trzema laty pojawiła się w fejletonie jako pierwsza *Kronika lwowska*. Byłto mały i wcale niewinny rejestrzyk głupstw i wybryków zrodzonych na bruku lwowskim, a okraszony pewną dozą dowcipu i sarkazmu. Nikt nie przewidywał, że kroniki te staną się odtąd integralną częścią świątecznych numerów pism politycznych i świątecznych pokarmem ich czytelników. Kronikarz Jan Lam zachęcony przychylnem nad wszelkie spodziewanie przyjęciem pierwszych, okazów swego wynalazku, puścił wodze dowcipowi i sarkazmowi i w krótkim czasie zaletami swego zręcznego i sympatycznego pióra. zjednał kronikom tygodniowym prawo obywatelstwa w całem dziennikarstwie i wielką popularność pomiędzy publicznością nietylko lwowską, lecz także i prowincjonalną. Przykład tak łatwo zapracowanéj popularności wywołał naśladowców i niebawem każdy z naszych dzienników, miał co tygodnia taki humorystyczny przegląd tygodniowy.

Zdawało się z początku, że kroniki lwowskie pozostaną zawsze według swego pierwotnego zakroju, humorystycznemi sprawozdaniami z chwilowego ruchu i bieżących spraw politycznych, literackich i społecznych. Wkrótce jednakże nastąpiła zmiana wcale niekorzystna. Skutkiem braku miarkowania albo smaku, niewinny żart wyrodził się w dotkliwe szyderstwo, słuszną naganę zastąpiła częstokroć otwarta zawiść, a ton satyryczny stawał się coraz podobniejszym do otwartego szkalowania. Ta zmiana zachwiała trochę popularność kronik, które wkrótce potem poniosły klęskę dotkliwą, gdy p. Lam porzucił redakcję i przerzuciwszy się do całkiem przeciwnego obozu politycznego, w nowo założonym piśmie zaczął chłostać tych, z któremi od niedawna wiązały go węzły solidarności i wspólności zasad. Odtąd kroniki lwowskie nie wywierały już dawnego wpływu, lecz stały się prawdziwym postrachem i bawią tylko tych, którzy nie obawiając się zaczepki mogą się zachwycać dowcipem pana Lama. Dowcip ten nie stępił się dotąd lecz owszem rozwinął się znakomicie, ale stawszy się tylko bronią chwilowych celów i zasad, zamanifestowawszy tak dobitnie swoją chwiejność i brak moralnéj podstawy, stracił znaczenie i nie może już wywierać takiego wpływu, jaki pierwotnie istotnie wywierać zaczął.

Mimo to przecież pan Lam jest zawsze bohaterem lwowskiego świata dziennikarskiego i mało pisarzy poszczycić się może takim szalonym rozgłosem imienia i takim szeregiem naśladowców, jaki rzucił się na ten nowy kierunek dziennikarskiego zajęcia. Wszystkie te naśladownictwa jednakże wypadły nie-

fortunnie, bo niwolniczo trzymały się formy, a braku dowcipu nie mogła pokryć czcza gadanina. Jeden tylko fejletonista Czasu nie poszedł tą utartą drogą, lecz wyrobił sobie całkiem odmienną formę.

Przechodząc do utworów humorystycznych o większych rozmiarach wrócić znowu musimy do pana Lama, który i tutaj jest głównym bohaterem, chociaż napisawszy dwie powieści humorystyczne już od półtora roku nie złożył świeżego dowodu swego talentu powieściopisarskiego.

Pierwsza powieść Lama pojawiła się przed dwoma laty pod tytułem: *Panna Emilja*. Mało powieści nawet takich, które wyszły z pod pióra autorów posiadających już ustaloną a pochlebną reputację, poszczycić się może tak szybkiem i przychylnem przyjęciem ze strony naszéj publiczności. Zaraz po pojawieniu się pierwsze go rozdziału, powieść ta zwróciła na siebie powszechną uwagę, rozciekawiła i zajęła czytelników, a mianowicie na prowincji. To niezwykłe u nas powodzenie zawdzięcza autor trafnemu wyborowi tematu i bardzo zręcznemu wyzyskaniu, pochwyconego materjału. W powieści téj autor zwrócił swój znakomity dar spostrzegawczy, na ten mało znany a przynajmniéj dotąd przez niewielu powieściopisarzy zręcznie odmalowany świat prowincjonalnéj hierarchji urzędniczéj. Naczelnik powiatowy pan Predliczek główny bohater powieści jest właśnie takim prowincjonalnym dostojnikiem, przedstawicielem owéj pleśni biórokratycznéj i stęchlizny pedantycznéj, która w austryjackich urzędach do niedawna tak bujnie rozwijała się i kwitnęła. Wybornie skreślił autor tę kolizje kłopotliwe i komiczne sytuacje, w które wprowadzały pana Predliczka częste nadzwyczaj zmiany w kierunku polityki austryjackiéj, a w których przedstawia się nam on jako typ służbisty elastycznego, zastosowującego się z podziwienia godną rezygnacją i gotowością do wszelkich zmian i reform. W skreśleniu téj arcyzabawnéj postaci widać rzadki dar spostrzegawczy, ogromny zapas dowcipu i humorystycznéj werwy, którą gładki i bardzo lekki styl podnosi do wysokiego efektu. Drogą także bardzo ciekawą i udatną określoną figurą w téj powieści, jest postać pana adjunkta Sarafonowicza. Innym nawet drugorzędnym postaciom powieści nie braknie ani prawdziwego kolorytu, ani udatnéj charakterystyki.

Zarzucano autorowi wielką jak na rozmiary treści rozwlekłość i częste zboczenie od przedmiotu. Zarzut podobny powstać mógł tylko z niedość dokładnéj znajomości istoty i budowy powieści humorystycznych. Powieść humorystyczna czerpiąca temat z codziennego życia społecznego, układająca całość artystyczną z drobnych szczegółów i rysów charakterystycznych, musi być do pewnego stopnia rozwlekłą i musi nieraz zboczyć na chwilę od głównego wątka opowiadania. Oczywiście przywiléj ten służy powieści humorystycznéj tylko do pewnego stopnia, po za którym spotkać się już można z niepotrzebną gadaniną zwłaszcza wtedy, jeżeli autorowi braknie dowcipu dla urozmaicenia opowiadania. Z takiem powolnem opowiadaniem spotykamy się w najznakomitszem może nowoczesnem arcydziele humorystycznem, w powieści Dickensa *Klub Piknika.* I w téj powieści zboczył znakomity autor nieraz od głównego wątku, a całe opowiadanie posuwa się zwolna i spokojnie ku zakończeniu.

Powieść *Panna Emilja* pozostanie bardzo ciekawym materjałem historycznym do dziejów Galicji z lat ostatnich, bo jest trafnym obrazem pewnéj części społeczeństwa naszego, i zawiera dużo zręcznie schwyconych typów i rysów charakterystycznych.

Druga powieść humorystyczna tego samego autora p. t. *Powagi powiatowe* nie przysporzyła autorowi więcéj sławy, lecz owszem może nawet poniekąd osłabiła korzystne wrażenie wywołane pierwszą powieścią. W téj drugiéj powieści mniéj już znajdujemy dowcipu i mniéj werwy i tego przedmiotowego spokoju, w opracowaniu zrobionych spostrzeżeń. Skłonności do szyderczych aluzji osobistych, która odzywała się już i w pierwszéj powieści pofolgował autor może nadto w *Powagach powiatowych.* Pełno tam zaczepek i wycieczek przeciw różnym wybitnym osobistościom, co psuje harmonię w całości. Nawet dowcip, którym autor w poprzedniéj powieści z podziwienia godną łatwością rozporządzał, stał się tutaj nieposłusznym i często wcale nie dopisał. Jestto zapewne wynik pośpiechu, gdyż autor zasiadł do pisania *Powag powiatawych* widocznie bez ułożenia z góry planu i rozkładu akcji, a przy takim pośpiechu i najznakomitszy talent z łatwością potknąć się może.

Przychodzimy z kolei do *Teki Stańczyka* drukowanéj w Przeglądzie Krakowskim. Autorowie Teki rozdrażnieni zaraz na wstępie surowym sądem swych przeciwników, zaczęli bronić swych zasad i zapatrywań z podwójną energią i stanowczością, co znowu spotęgowało znacznie zapał polemiczny ich przeciwników. Jak zawsze w naszym świecie dziennikarskim tak i tym razem, nie obeszło się bez jaskrawéj przesady w argumentach i dowodzeniach.

W szczegółową treść Teki nie chcemy się wdawać, bo krytyka jéj zasad należy do dyskusji dziennikarskiéj. W rozprawie niniejszéj chcemy tylko kilka słów poświęcić literackiéj wesołości tego satyrycznego utworu.

Już ów hałas wywołany w dziennikarstwie zaraz pierwszemi rozdziałami tego dzieła, jest poniekąd rękojmią, że Teka Stańczyka ma wartość literacką i to nawet dość wysoką. Satyra bowiem najostrzejsza i najsłuszniejsza ale niedołężnie napisana, wywołuje zazwyczaj tylko chwilowy gniew a najczęściéj zbywają ją przeciwnicy uśmiechem politowania. Tylko więc zalety prawdziwe mogły ściągnąć na Tekę zaraz w pierwszéj chwili tak liczne i ostre pociski. Istotnie bowiem każdy czytelnik zapatrujący się na Tekę Stańczyka jedynie ze stanowiska bezstronnéj krytyki literackiéj, nie wdający się w polemikę o zasady i twierdzenia polityczne, nie może jej odmówić wysokich zalet satyrycznych. Teka Stańczyka jest analizą stosunków społecznych i politycznych, dokonaną z wielką zręcznością i niezwykłym darem spostrzegawczym. Dowcip w téj satyrze nie jest bujny ale zato dosadny i trafny. Forma zaś zewnętrzna zwłaszcza w niektórych częściach jest mistrzowską, pełną niepospolitego sprytu i werwy dziennikarskiéj. Teka ma być zbiorowym utworem kilku autorów, co także potwierdzać się zdaje ten fakt, że nie wszystkie jéj części celują temi samemi zaletami i różnią się nieraz bardzo pod względem formy i kolorytu. Niektóre ustępy wyszły widocznie z pod wytrawnego pióra dziennikarskiego, inne znowu zdają się być utworem pisarza, który przyzwyczajony do pisania dzieł innego rodzaju, w téj składanéj satyrze zbytnio obciąża się balastem erudycji i stara się nieraz zastąpić dowcip archaiczną formą. Jednakże mimo takiego niezręcznego układu i braku artystycznéj centralizacji pojedynczych ustępów, nie można odmówić Tece Stańczyka wysokich zalet satyrycznych. Gdyby autorowie nie byli się zbyt rychło unieśli drażliwością i przesadnym pessymizmem, który był niejako odpowiedzią na zaczepki obozu przeciwnego, Teka byłaby ogromnie na tem zyskała. Po tak znakomitych zdolnościach bowiem jéj autorów, spodziewać się można było takiéj wybornéj anatomji wad i zdrożności społecznych, jaką jest znakomite dzieło angielskiego humorysty Thackeray'a p. n. *Snopy.*

Przed rokiem drukował „Kraj" w fejletonie szereg obrazków charakterystycznych, z których powstał potem tomik p. n. *Album fotograficzne* przez Kalasantego Kruka. Są to obrazki malujące wybitniejsze postacie z sejmu galicyjskiego i naszego świata dziennikarskiego i literackiego.

Kto dobrze poznał przywary przeważnéj części humorystyki lwowskiéj, zastępującéj humor i dowcip bardzo często nieprzyzwoitemi wybrykami, posiłkującéj się nieraz otwartem szyderstwem a nierzadko nawet, jawną obelgą, tego ujmie zaraz na wstępie Album fotograficzne swoim łagodnym tonem satyrycznym, który potrafi rozbroić nawet gniew osobiście zaatakowanego w tem dziełku. W żadnym obrazku nie pofolgował autor stronniczéj zawiści, nie uniósł się nigdy koteryjną namiętnością, lecz potrafił się zawsze utrzymać na stanowisku spokojnego i bezstronnego widza. Są to zalety rzadkie, które zjednały Albumowi bardzo życzliwe przyjęcie ze strony publiczności czytającéj i krytyki.

Nie wszystkie fotografje zawarte w Albumie są równie trafne i zgrabne. Nie jedna z nich nie jest wynikiem samoistnego studjum kreślonego charakteru, lecz więcéj reprodukcją rzeczy dosyć już znanych a nawet wyzyskanych. Na niejedną postać patrzał autor pobieżnie i nie spostrzegł może wszystkich rysów wybitnych. Ale liczba takich chybionych a raczéj niedokładnych tylko obrazków jest małą. Zarzuciłby można także autorowi, że nie zawsze udało mu się spostrzeżenia zrobione ułożyć w jedną całość organiczną. Często spostrzeżenia te i rysy charakterystyczne wyrysowane obok siebie luźno, co osłabia precyzję i wydatność fotografji charakterystycznych. Mimo tych usterek jednakże Album fotograficzne zajmuje w bieżącéj literaturze humorystycznéj stanowisko zaszczytne.

Na tem prawie kończy się szereg znakomitych utworów humorystycznych z najświeższych lat. Pomijamy tu cały szereg efemerystycznych elukubracji niby humorystycznych, które pozbawione wszelkich zalet a pisane tylko dla jakiejś stronniczéj tendencji bez spokoju i powagi nie zwróciły na siebie uwagi i stanowią dzisiaj tylko wcale pokaźny stos rupiecia pamfleciarskiego. Dla szczupłych rozmiarów niniejszéj rozprawki musieliśmy także pominąć powieści, które obfitują niezawodnie w udatne epizody humorystyczne, ale nie posiadają wybitnego kolorytu humorystycznego.

Wypadałoby może jeszcze rozpatrzyć się w utworach dramatycznych, które osnute zostały na tle dzisiejszych stosunków nadzwyczaj ciekawych dla każdego talentu komedjopisarskiego. Mamy już kilka komedji napisanych w tym duchu, a w ostatnich czasach liczba ich powiększyła się znacznie. Ale sprawa ta wymaga już osobnego studjum, więc odkładamy ją do chwili stosowniejszéj.

B. Łoziński.

Korespondencja Tygodnika Mód.

Z Wiednia.

(Przygotowania do wystawy powszechnéj.—Wystawa wiedeńska pod względem rozciągłości. — Oddział sztuk pięknych, oddział przemysłu domowego, oddział wychowania. — Korzyści szczególne—Zakłady dla robotników zagranicą.— Stan rzeczy w Wiedniu. — Atenea w projekcie. — Czesi i Niemcy. — Gościnność niemiecka.—Co góry i rzeki przypominają Wiedniowi? Spór uczonych o św. Seweryna. — Badania krytyczne profesora Szembery. —Balet Taglioniego.)

Od ostatniego mego listu sprawa wystawy światowéj, na rok 1873 zapowiedzianéj, znacznie postąpiła. Plac pod budowę pałacu i przestrzeń, którą w ogóle wystawa ma zajmować, zostały już wytyczone w Praterze. Przyznać trzeba, że wybór miejsca dokonany został bardzo szczęśliwie, ta część Prateru bowiem, nietylko obfituje w rozliczne wdzięki przyrodzone, ale nadto, jest doskonałą płaszczyzną, leży bardzo blisko najbardziéj ożywionych części miasta i jest z dwóch stron otoczona wodą, z jednéj Dunajem a z drugiéj kanałem, co niezmiernie ułatwi komunikację. Jeżeliby zaś znaczenie wystawy zależało tylko od miejsca na nią użytego, tedy możnaby twierdzić, że wystawa wiedeńska w r. 1873 będzie największą ze wszystkich, jakie gdziekolwiek i kiedykolwiek miały miejsce; podczas gdy bowiem wystawa londyńska zajmowała w r. 1851 morgów 14, paryska w 1855 r. 18, londyńska w 1862 r. 32 a wystawa paryska na polach marsowych w r. 1867, 77 morgów, wystawa wiedeńska r. 1873 w Praterze zajmować będzie niesłychaną przestrzeń 405 morgów powierzchni, główny zaś gmach wystawy będzie miał 500 sążni długości. Wystawa wiedeńska i tem jeszcze przewyższać będzie paryską, że gdy tam tworzyć musiano sztuczne parki i aleje, Prater zapełniony jest klombami starych drzew, które całości nadawać będą piękny i malowniczy pozór. Jednocześnie pomyślano także o budowie nowych dróg i mostów dla połączenia Prateru ze wszystkiemi częściami miasta w najrozmaitszych kierunkach, tudzież o należytem oświetleniu gazowem. Dyrektor wystawy Br. Schwarz, troskliwy o wszystko, coby mogło zapewnić świetność i powodzenie przedsięwzięciu jego pieczy powierzonemu, zaprosił do Wiednia Mr. Scotta Russela, dla zasięgnięcia na miejscu jego zdania pod względem budowy pałacu. Mr. Russel, twórca pałacu wystawy londyńskiéj w r. 1851 i pałacu kryształowego w Sydenham, ten sam który budował olbrzymi, parowiec Great — Eastern, przyjął zaszczytne wezwanie, a rady jego będą niezawodnie wielce zbawienne.

Wystawa wiedeńska obejmować będzie wszystko, co tylko zaliczać się może do rzędu sztuk, nauk, przemysłu, gospodarstwa społecznego. Ze sztuk pięknych, oprócz architektury, rzeźby, malarstwa, będą także reprezentowane rozmaite rodzaje reprodukcji. Z głównym gmachem wystawy łączyć się będzie osobny budynek, w którym zwiedzający znajdą ogólny obraz działalności wszystkich narodów na polu sztuki. Idzie tu jednak nie o powtórzenie tego wszystkiege, co już było na innych wystawach międzynarodowych, lecz o wywarcie ożywczego i skutecznego wpływu. Urządzający wystawę postanowili mieć ile możności na względzie stosunki teraźniejsze, które tak dobrze scharakteryzował J. I. Kraszewski, mówiąc, że dzisiaj sztuka zniżyła się do rzędu rzemiosła, a rzemiosło podnosi się do rzędu sztuki. Otóż, z wystawą sztuk pięknych ma być połączona wystawa muzeów artystyczno przemysłowych, jakie na wzór londyńskiego Kensington pozakładano w rozmaitych miejscach Europy, mianowicie w Edinburgu, Lugdunie, Berlinie, Monachium, Sztutgardzie. Norymberdze, Wajmarze itd. Muzeum sztuk i rzemiosł wiedeńskie, zajmie tu niezaprzeczenie jedno z pierwszych miejsc. Z wystawą zaś muzeum ma być połączony kongres dyrektorów tychże, dla wzajemnego porozumienia się i naradzenia nad kwestjami, wchodzącemi w zakres ich działania. W dziale sztuki ma być urządzony osobny oddział dla amatorów, jakiego na innych wystawach podobno nie było, a w którym mieścić się będą dzieła, nie przez twórców wystawione, lecz przez miłośników sztuki zbierane, a dla ogółu pospolicie niedostępne. Zapewne niemniej ciekawym będzie także oddział wystawy, poświęcony przemysłowi domowemu rozmaitych narodów. Oddział taki był urządzony i na wystawie paryskiéj, ale tutaj ma być bardziéj rozszerzonym i w ogóle ma obejmować wszystko, co gdziekolwiek robi się w domu i dla domu, nie tyle z uwzględnieniem różnic etnograficznych, ile raczéj tego, co w jakimkolwiek względzie odznacza się doskonałością i praktycznością. W oddziale tym, oprócz tego wszystkiego, co należy do kuchni, piwnicy i spiżarni, mieścić się będą wszelkie wyroby ręczne kobiet, tkaniny, hafty, koronki, plecionki itd. Do tego oddziału należeć także będą sprzęty domowe i całkowite urządzenia pomieszkań, jak niemniéj wszystko, co ma jakikolwiek związek z gospodarstwem domowem. Zrobiona na ostatniéj wystawie paryskiéj próba unaocznienia rozmaitych metód wychowania i nauczania, ma być ze znacznem ze wszech miar rozszerzeniem na wystawie wiedeńskiéj ponowioną. Pod tym względem, na dotychczasowych wystawach mniéj poświęcano troskliwości wychowaniu dzieci, lecz zajmowano się głównie środkami naukowemi szkolnemi Środki służące do wychowania fizycznego i rozwoju psychicznego w pierwszych okresach życia, nigdy jeszcze i nigdzie nie były w zupełności zestawione. Otóż tę właśnie próżnię zamierzono wypełnić na wystawie wiedeńskiéj i w tym celu postanowiono zgromadzić we właściwym oddziale wszystko, co ma związek z wychowaniem dziecka od przyjścia na świat, aż do rozpoczęcia nauki szkolnéj. Będą więc tutaj unaocznione rozmaite metody karmienia niemowląt, będą przedstawione sposoby kontroli fizycznego ich rozwoju, jak niemniéj wszelkie środki, mogące przyczynić się do zmniejszenia śmiertelności pomiędzy dziećmi, która powiększéj części, jak wiadomo, bywa skutkiem szkodliwego, lub nieodpowiedniego systemu wychowania fizycznego. Pokój dziecinny jakim jest, a jakim być powinien, ogródki freblowskie itp. wszystko to zamierzono urządzić z należytą dokładnością. Po ścianach mają być porozwieszane tablice statystyczne, unaoczniające wpływ rozmaitych metod karmienia i wychowania na rozwój i śmiertelność młodego pokolenia.

Oprócz korzyści ogólnych, jakie z każdéj wystawy powszechnéj wynikają dla całych narodów, wystawa wiedeńska ma jeszcze osobną przynieść korzyść samemu Wiedniowi. Kto miał sposobność widzieć Conservatoire des arts et métiers w Paryżu, albo też Musée de l'industrie w Brukseli, kto się przypatrzył nagromadzonym tam zbiorom rysunków modeli maszyn, narzędzi, płodów surowych i wyrobów: przeznaczonych do nauki i oświecenia klas rzemieślniczych, kto widział, jakto rzemieślnicy a w ogóle robotnicy, w godzinach wieczornych, cisną się do tych zakładów, z jaką chciwością rozrywają książki i wzory rysunkowe, z jaką uwagą i pilnością przysłuchują się wykładom, miewanym dla nich przez największe powagi i znakomitości naukowe, mniema zapewne, że i w Wiedniu, jako jednem z głównych ognisk światła w Europie, to samo zobaczy. Niestety, kto tak sądzi, jakże grubo się myli. Jest w Wiedniu niezaprzeczenie kilka arterji, w których prawdziwe tętni życie, ale jak z jednéj strony literatura, tak z drugiéj kwestja oświaty robotników, nikogo nie zajmują, nikt się o nich nie troszczy, nikt o nich dotąd nie pomyślał. Obojętność dla literatury dochodzi do tego stopnia, że w Wiedniu nie ma ani jednego pisma perjodycznego, poświęconego literaturze, krytyce, bibliografii, a ponieważ dzienniki polityczne, których jest co niemiara, nie poświęcają ani jednego wiersza ruchowi literackiemu, często się zdarza, że księgarze wiedeńscy o książkach w Wiedniu wydanych, dowiadują się dopiero z centralnego organu wychodzącego w Lipsku. Podobnie rzecz się ma z kwestją oświaty robotników. Nie ma tu ani jednego zakładu, w którymby kształcić się mogli i ani rząd, ani gmina nie poczytuje sobie za powinność uczynienia czegokolwiek na tem polu. Przed parą laty sami robotnicy widząc czego im nie dostaje, pozawiązywali się w stowarzyszenia mające na celu ułatwienie im nabycia nauki, lecz stowarzyszenia te, na własnych tjedynie siłach oparte, a więc niezmiernie ubogie, zbyt mało działać mogły.

Otóż dopiero teraz dyrekcya wystawy pomyślała o uczynieniu czegoś dla robotników wiedeńskich. Na wystawę nadchodzą zwykle w niezmiernéj ilości płody surowe i wyroby, jak niemniéj modele, maszyny, rysunki, książki, których wystawcy wcale późniéj nie odbierają. Według wszelkiego prawdopodobieństwa i wystawa wiedeńska będzie miała takich przedmiotów podostatkiem, postanowiono więc użyć ich na założenie w Wiedniu kilku muzeów rzemieślniczych, na wzór ateneów jakie w Anglii są w każdem najmniejszem miasteczku, i które też dla tego mają się także nazywać ateneami.

Wystawa wiedeńska obudziła żywe zajęcie za granicą. Dzienniki angielskie, francuskie i niemieckie zamieszczają mnóstwo artykułów o przygotowaniach do wystawy, a liczni fabrykanci i przemysłowcy albo sami przybywają dla osobistego porozumienia się, albo zgłaszają się z zapytaniami. Wszystko zdaje się zapowiadać, że przedsięwzięcie się powiedzie, dla tego też już teraz zaczęto robić przygotowania do pomieszczenia kroci spodziewanych gości. Na ulicach bliższych Prateru powstało już kilka nowych hoteli i wszystkie budowle rządowe, które tylko mniéj są potrzebne i wypróżnione być mogą, będą zamienione na gospody.

(d. c. n.)

Przegląd teatralny.

Znakomici, komedja w trzech aktach oryginalnie wierszem napisana przez Feliksa Schobera.

Zalegliśmy cokolwiek w sprawozdaniach teatralnych, nie dlatego żebyśmy ich potrzeby nie uznawali ale że nam to zajęcie stale prowadzone w końcu stało się nieznośnem.

W przybytku sztuki, w tym opiekunie i siewcy piękna i dobra, zamiast plonów zdrowych, pożywnych, znajdować ziarna suche, zwiędłe, nędzne a często trujące jest niespodzianką wcale niepożądaną.

Teatra nasze dość są pohopne do przedstawiania nowości, dla czegoż jednak tych dobrych a tak chwalebnych chęci w trafnym i dla wszystkich pożądanym nie rozwijają kierunku? Dlaczego z owych nowości niemal co tydzień wprowadzanych na scenę jedne z nich nudzą, drugie nie bawią inne gniewają, a rzadko które odpowiadają istotnemu przeznaczeniu teatru? Wiemy że Dyrekcja złożona jest z ludzi światłych, prawdziwych miłośników sztuki, i umiejących ocenić gdzie szych a gdzie złoto. Przekonani także jesteśmy, że nie faworyzuje niektórych autorów i tłomaczy ze szkodą innych pragnących pracami swemi zasilać dość podstarzały repertuar. Brak chyba istotnie dobrych utworów zarówno tłomaczonych jak oryginalnych, jedynym być musi tego powodem. A jednak znalazłyby się, tylko trzeba cokolwiek popukać i poszukać, a mianowicie ułatwić zgłaszającym się pisarzom uzyskanie odpowiedzi na przedstawione rękopisma. Dawniéj można było na nią czekać wieki i nie doczekać się, dziś sprawa ta raźniéj się odbywa, ale trudności niezupełnie usunięte. Gdyby dyrekcja dla każdéj sztuki doręczonéj jéj, dla wydania sądu miesiąc wyznaczyła czasu i ściśle terminu przestrzegała, byłoby to wielce pożądanem i każdego zachęciłoby do pracy. Sztuki przeznaczone do przedstawienia niechby szły porządkiem w jakim dostały się do Dyrekcji, a wówczas niktby na zwłokę nie śmiał narzekać i opinja tradycyjnie przechodząca niemożności doczekania się odpowiedzi, zginęłaby bezpowrotnie. Dyrekcja, co uposażyła scenę tutejszą w arcydzieła Szekspira, co pragnie wydobyć się z ciasnego kółka w spadku jéj zostawionego, mamy nadzieję że radę naszą pilniéj rozważy.

Komedja Znakomici jest to praca nie bez pewnego talentu przygotowana, ma pobłyski jego widoczne, czasami lubo rzadko wytryska prawdziwym dowcipem tyle zawsze pożądanym, napisana przytem dość gładkim wierszem, ale lepiéj byłoby i dla publiczności i dla autora, gdyby scena mniéj się dla niéj gościnną okazała. Zadanie jéj odpowiada zu-

pełnie przeznaczeniu teatru. Choroba na chęć wsławienia się i znakomitości, wydobycia się jakim bądź sposobem na widownię towarzyską, zwrócenia powszechnéj na siebie uwagi, jest śmiesznością dość upowszechnioną, godną satyry i komedji. Ale każda śmieszność poddana pod chłostę słowa, aby się nią okazała, musi być koniecznie przedstawioną w warunkach jak najnaturalniejszych niemal sfotografowanych z życia ludzkiego, podniesionych tylko sztuką i zręcznie niezmiernie uwydatnionych. Tego nie znajdzie w komedji pana Schobera i wszystko począwszy od treści aż do szczegółów jest najczystszą kompozycją, z prawdą żadnéj nie mającą styczności.

Jakób pragnąc uzyskania znakomitości dla swojéj osoby, namawia żonę swoją Berenikę do pisania dramatu, i pewny że przez nią rozgłos znajdzie w świecie, objaśnia służącego Michała że i on jako sługa znakomitych osób, równą siebie ozdobi znakomitością.

— Czy i baba moja będzie równie znakomitą? zapytuje Michał.

— Naturalnie, odpowiada Jakób, jako żona znakomitego męża.

Podniesiony w dumę Michał przybiera odtąd odpowiednią postawę, i gniewa się niezwykle gdy go parę razy głupcem nazwano.

Przybycie państwa Damazych wikła sprawę. Damazy już wyłącznie tylko dla chleba, zamierza pisać konkursowe dzieło astronomji dotyczące, i podsycany przez żonę Barbarę do zdobycia przez to znakomitości, z niezmierną trwogą przyjmuje wiadomość, że i Berenika pisze dramat, mający jéj tyle upragnioną ściągnąć znakomitość.

Ztąd zazdrość, gniew, niechęć, posunięte do tego stopnia, że Jakóbowie przybyłym do siebie w odwiedziny Damazym wymawiają gościnność i gwałtem skłaniają do wyjazdu.

Oto jest główna treść komedji, bo miłostki Bereniki z kuzynkiem Ernestem, miłość dla niego Anieli córki Damazych, posługują tylko do rozwikłania nieporozumienia pomiędzy dwoma małżeństwami, gwałtem dobijającemi się znakomitości.

Pytamy teraz Autora, i jego tylko wyłącznie, gdzie widział ludzi którzyby tym sposobem szukali namaszczenia na znakomitość, którychby rozpalał gniew i zazdrość dla tego jedynie, że jeden z nich pisze dramat, drugi dzieło astronomiczne? Gdzie spotkał i kiedy męża i żonę, którzyby wierzyli że sława ich współmałżonków i im równego nada blasku, i zrobi znakomitemi jak to prawdziwéj zasłudze przynależy? Gdyby współzawodnicy jednym przynajmniéj zajmowali się rodzajem pracy w celu uzyskania przeznaczonéj nagrody, zazdrość jeszcze dałaby się jako tako usprawiedliwić, ale Berenika pisze dramat a Damazy dzieło astronomiczne, czyż to przeszkadza jedno drugiemu do uzyskania znakomitości?

Podobne postacie w jakich Autor uosobił dążność swojéj komedji, gdyby nawet znalazły się w rzeczywistości, uznaneby zostały przez wszystkich jako manjacy, godni osadzeniu w domu warjatów. To też Jakóba i Damazego autor w swéj pracy zrobił wierutnemi głupcami, sprzeczającemi się i walczącemi z sobą Bóg wie o co, o cień do obu nienależący.

W tak wadnéj kompozycji wlokącéj się nudnie aż przez trzy akta, wszystko jest wadnem i nienaturalnem. Osoby wchodzą i wychodzą nie z istotnéj konieczności akcją wywołanéj, ale tylko dla przedstawienia sceny, obrazującéj i łączącéj z następnemi wątek całéj komedji. Jedna tylko tajemna miłość Anieli dla Ernesta niepodzielana przez niego a nawet odrzucona, jéj późniejsze poświęcenie dla ukrycia miłostek Ernesta z Bereniką, jest pomysłem istotnie dramatycznym. Miłość prawdziwa zdolna do takiéj ofiary, a dramatyczność w tem głównie spoczywa, że Aniela pragnąc kochanków wybawić z dość groźnego kłopotu o pojedynek potrącającego, oświadcza stanowczo, że Ernest nie może kochać Bereniki, bo ją kocha, o nią się oświadczył a ona odrzuciła jego żądanie. Oprócz téj jednéj cząsteczki komedji, wszystko zresztą z prawdą w ciągłym i nużącym widza zostaje rozbracie.

Obszerniejsze nasze rozpisanie się o komedji Znakomici, niech autor uważa jako życzliwość naszą nie dla jego pracy, ale dla jego talentu, który pragnęlibyśmy podnieść do prawdziwéj znakomitości. Trzeba tylko pracą i nauką rozwinąć w sobie większy dar jaśniejszego na rzeczy poglądu, wzmocnić sąd o nich, wyrobić umiejętność patrzenia na ludzi, wnikania w pobudki ich działalności i posiąść łatwość chwytania śmieszności ludzi, łatwo dostrzeganych przez bacznych postrzegaczy.

Co do gry artystów, powiemy tyle tylko, że robili wszystko co było w ich mocy, i im jedynie przypisać należy, a szczególniéj grze panów Żółkowskiego i Rapackiego, że komedji można było do końca wysłuchać. Nawet pan Adler w roli służącego Michała, widocznie usiłował utrzymać się w charakterze przedstawianéj postaci, podniesionéj do znakomitości.

O UBIORACH.

Z nadchodzącą jesienią sklepy i magazyny nasze zaopatrzyły się we wszystko, czego dobry smak i gust wymagać może; widzieliśmy świeże kostiumy mało różniące się formą od zeszłorocznych, jak niemniéj ciepłe okrycia, których raptowne oziębienie powietrza tak wcześnie wyzywa. Wielki dobór tych ostatnich sprowadził p. Penkala, w najrozmaitszych cenach. Z pomiędzy wielu ciepłych kaftaników na ulicę, jakie przygotowano, odznaczał się ciemno-brzoskwiniowy okładany tumakami z puszystym kołnierzem i szerokim wykładem. Nad futrem, było jeszcze wyszycie z czarnego i białego sutaszu, formujące stopniowane słupki po nad rozporkami w tyle i po bokach. Szerokie i długie rękawy dopełniały kaftanika obciskającego cokolwiek figurę i spiętego na guziki z przodu. Drugi był z syberyny granatowéj, okładany popielatym astrachanem, z szerokim kołnierzem i wyłogami, wyszyty podobnież białym i czarnym sutaszem i zaokrąglony z przodu. Inny znów do figury przypominający formą węgierskie ubranie, brązowy, bramowany był czarnemi pętlicami, po obu brzegach rozporka w tyle i wzdłuż przodów, formujących rodzaj zębów. Szeroki wykładany kołnierz z wyłogami skunksowy i wkoło wypuszczony brzeg futerka dopełniał całości, kosztującéj 27 rs. Ładnym był także kaftanik „Mirza” wcinany, z kontrafałdowanym karoczkiem, obkładany siwemi barankami cena rs. 35. Z okryć innych podobał nam się bardzo rodzaj jubki „Metternich” zwanéj: granatowa luźna, podbita bielistkami z wypuszczonym wkoło brzeżkiem, miała maleńkie rozporki w tyle i po bokach, a przód na grube sznury jedwabne z kwastami związany. Oryginalność okrycia, stanowił kapturek bielistkami wyłożony i przyciągnięty brzegiem na kontrafałdowaniu, przyszytym sznurem, związanym na kokardę ze spadającemi kwastami. Cena rs. 54. Prócz wyżéj opisanych widzieliśmy jeszcze wielki dobór ciepłych burnusów, obkładanych futrem, syberynowych z futrzanemi i aksamitnemi kołnierzykami lub kapturkami. Z sukien podobały nam się dwie świeżo wykończone. Jedna była czarna z „cachemire de soie” spódnica bez trenu, miała u samego dołu aksamitną plisę, tiunikę z wierzchu, lekko w tyle samym podpinana, prócz aksamitnéj plisy ozdabiały wystające z pod plisy śpiczaste zęby, aksamitem lamowane. Przy tiunice przyszyty był, kontrafałdowany grubo karoczek plisą aksamitną zakończony. Stanik w rodzaju kaftanika formował drugi mały karoczek w zęby, aksamitem lamowane i przyciśnięte paskiem. Rękawy z plisą i żebami, dopełniały całości. W miejsce aksamitnych plis dają także obłożenie z futra. Drugi kostium do pokoju, z fijołkowéj francuzkiéj popeliny stanowił także bardzo piękne ubranie. Dół spódnicy zdobił wolant plisowany w spiczaste zęby spadające na aksamit, z takimże nagłówkiem. Tiunika drapująca się z przodu, wzięta cokolwiek ku tyłowi zmarszczona mocno na bokach, tak z dwóch stron była podpinana, że sam środek tyłu wolno tylko spływał. Brzeg zdobił wolant w spiczaste zęby, tył w górze mocno kontrafałdowany. Na fijołkowéj aksamitnéj kamizelce, odznaczał się pięknie popelinowy kaftanik zaokrąglony z przodu; baskinę w tyle składały dwa długie szalowe końce, dwie duże bufy i aksamitna kokarda. Końce oszytebyły pliską i frendzlą mięszaną ze sznelą. W magazynie p. Thonesa równie przysposobiono już jesienne i zimowe zapasy. Z kostiumów widzieliśmy jeden z „satin de laine” granatowy. U dołu spódnicy był wolant co trzy kontrafałdy przedzielany aksamitnym czarnym pasem, oszytym granatową riuszką; tunika frendzlą oszyta podpinana była również aksamitnemi pasami z riuszką.

Kaftanik odznaczał się oryginalnym karoczkiem, ułożonym w fałdy przegradzane tak, żeby granatowa spoczywała na czarnéj aksamitnéj. Przód kaftanika obłożony aksamitem jak i rękawy, dopełniał w tył spadający aksamitny czarny kaptur. Inny kostium wełniany „mexique” miał prócz lekko nadmarszczonéj falbany, listewką przyciśniętéj, zęby atłasem czarnym lamowane jako nagłówek. Tunika zwyczajna podpinana, prócz falbanki z listewką i spiczastemi atłasem obejmowanemi zębami, miała w tyle szarfy frendzlą oszyte. Stanik odznacza rodzaj wykładu z falbanki, listewki i zębów. Prócz tego kostiumu, był jeszcze inny rubinowy z szeroką kontrafałdowaną falbaną, po nad którą w tyle samym, naszyto z dziesięć lekko fałdowanych falbanek. Przód pokrywa tunika, kończąca się na bokach, gdzie trochę jest podniesiona; brzeg otacza gipiura czarna z wrobioną rubinową frendzlą. Falbanę u dołu, przegradza pod nadgłówkiem riuszka rubinowa, czarną gipiurką oszyta. Takaż riuszka ozdabia tunikę. Kaftanik na flaneli do figury, ma w tyle karoczek, bogato garnirowany riuszkami i koronką. Prócz kostiumów całkowitych, widzieliśmy także wiele spódniczek w rozmaitych barwach, ładnie materją przybranych z „Serge d'Aumale” jakich używają pod czarne albo kolorowe „vétement.” Spódniczki podobne w cenie od 15 do 18 rs. oszywają także futrem. Z okryć piękne bardzo są chustki z grubéj tkaniny algierskiéj w jaskrawe pasy, w cenie od 12 do 14 rs. jako też rozmaitego gatunku talmy i burnusy z materjałów „à deux face” tworzących zarazem kolorową podszewkę. Piękna też była talma szkocka zielona z szafirowem, w rodzaju havelocka, z pelerynką do połowy i czerwoną podszewką. Gruba sznelowa frendzla raz u dołu, drugi raz wokoło pelerynki, fałszywie naszytéj w tyle, dopełnia całości. Sklep p. Thonesa sprowadził również znaczny zapas tyle poszukiwanych rękawiczek „Jouvina” na 2 guziki. Cena ich wynosi 12 złotych.

Nagła zmiana temperatury, zwróciła naszą uwagę na przedmioty zabezpieczające od przeziębienia. W tym celu przejrzeliśmy u p. Penkali materjały na salopy tak jedwabne jak i wełniane czarne nieróżniące się w niczem formą od zeszłorocznych. Z materji, bardzo dobrze wygląda: „Drap de Hollande” 5 ćwierci szerokie po 3 i pół rs. łokieć. Jest to wyrób w rodzaju rypsu bardzo gładkiego w drobne prążeczki — na dostatnią salopę na futro wychodzi 9 łokci.

Z innych piękne także tak zwane, satin turque 5 ćwierci szerokości mające, po 3 rs. łokieć. Wełniana popelina 5 c. szeroka, kosztuje rs. 1 łokieć. W futrach, niema żadnéj nowości; zeszłego roku, noszone garnitury ciągle są poszukiwane.

Dla dzieci zaopatrzono się w zręczne mufeczki z kołnierzykami z białych królików, w cenie rs. 8. Perskie białe baranki, z mufeczką kolorową materją podbite z sznurami, kosztują po 6. rs. Dla młodych osób, używają najwięcéj garniturów z (Grebes) piórek ptastwa wodnego, pieknų materją „croisée“ podszytych, w cenie 28 rs. garnitur. Baranki popielate kosztują 15. rs. Kasztanki, karakuły po 12 rs. garnitur. Czarne małpy (monkey) z długim włosem kosztują 24. rs. garnitur, a bardzo noszone skunksy 20 — 25 rs. Tumakowe garnitury jeszcze raz zmniejszyły formę; mufka i kołnierzyk kosztują 46. rs. Sobolowy garnitur wynosi 60 rs. Gronostaje zawsze są równie poszukiwane — prócz garniturów noszą bardzo tak zwane talmy gronostajowe w cenie 65. rs. kolorowo podszyte. Lisy, jako najlżéjsze nigdy niewychodzą z mody, — ponieważ cały błam jest za wielki na jedną salopę, w magazynie p. Penkali podejmują się przygotować taką rypsem jedwabnym krytą za 120 rs. bez kołnierza. Błam całkowity kosztuje 100 rs. Lisy wirgińskie, gros — grain wełnianem kryte, dostać można za 90. rs. Błam tumaków kamionki pod salopę wynosi 330. rs borowych, 540. rs. Boa, czyli krawatki futrzane, utrzymają się i tego roku; — tumakowe ciemne, kosztują 4. rs, kamienne, 3. rs.

Druk K. Kowalewskiego (ul. Królewska N.1066k)

Дозволено Цензурою.

Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

KAMIENNE SERCE

POWIEŚĆ

PRZEZ

Golo-Raymunda

Z NIEMIECKIEGO.

(Dokończenie).

Stryj wywiedziawszy się dokładnie o wszystko, zaczął sam robić poszukiwania w Ameryce, a gdy się szczegóły, które pan Thornton udzielił potwierdziły, postarał się o wszystkie potrzebne dokumenta, metrykę ślubu i zejścia matki i dziecka. W obec tych świadectw zniknęła wszelka wątpliwość, a okoliczność, że ojciec mój nie chciał nigdy odwiedzić Amstettenu, potwierdziła okropną winę. Opodal bowiem teść jego założył fabrykę.

Starałem się zachować ile możności zimną krew, nie podobna mi jednak było utaić całkiem boleść i smutek. Wtem sam stryj podał mi równie niespodziewany jak niepożądany środek wybrnięcia z kłopotu. Oznajmił mi, że gotów zrzec się pretensji na rzecz swojéj córki, jeżeli ją zechcę zaślubić. Trudno uwierzyć takiéj bezinteresowności mogącéj wyniknąć tylko z najgłębszéj miłości rodzicielskiéj, lecz trzeba ci wiedzieć, że Ingeborga miała nad ojcem zupełną władzę, nie stojąc bynajmniéj na zawadzie we wszystkich jego ohydnych nałogach i skłonnościach. Ingeborga wiedziała dobrze iż blask bogactwa tylko dopóty opromieniać ją może, dopóki ojciec żyje, że po jego śmierci dobra przejdą w ręce dalekich krewnych, a ona zostanie ubogą prawie tak samo jak była przedtem. Niespodziewane dziedzictwo przynosiło więc jéj, tylko możność wejścia w świetne związki małżeńskie, lecz i to było wątpliwem z powodu jéj awanturniczéj przeszłości, dawno minionéj młodości i zupełnego braku wdzięków. Zostawiono mi najstraszliwszy wybór, jaki którykolwiek z mężczyzn miał kiedy do zrobienia. Nie szło mi o siebie, ani o Feliksa; jest on mężczyzną, i jeżeli nim jeszcze nie był, stać się nim być powinien. Nie podzielałem bowiem zdania matki, która poczytywała to za hańbę, co ja nazywałem nieszczęściem. Nie szło mi o chleb dla niéj i dla nas, chociaż w pierwszéj chwili nie wiedziałem zkąd go weźmiemy, szło mi tylko o matkę Gertrudo — która padła przedemną na kolana, błagając o imię poczciwe. Nie przemawiała do mego serca, do mojéj miłości synowskiéj, lecz powiedziała tylko: bądź moją obroną, Pawle, nie dopuść aby hańba spadła na moje siwe włosy, nie jestem już młodą i silną, zestarzałam się i siły mię opuściły.

Przebudziłem się więc z moich marzeń Gertrudo, i zostałem mężem Ingeborgi.

Gertruda zasłoniła rękami twarz swoją, a lekkie drżenie jéj postaci wskazywało że płakała.

— Gertrudo, zapytał usiłując ją pocieszyć, czy to wspomnienie sprawia ci tyle przykrości? czy gniewasz się jeszcze na mnie?

— Nad tobą ubolewam, nad sobą płaczę, odrzekła, przykro mi że mogłam być tak małoduszną i myśleć o sobie, podczas gdy ty tak straszną spełniałeś ofiarę.

— Czyż chciałabyś była podzielać wówczas, moje cierpienia? zapytał czule. O serce moje, będziesz je podzielać jeszcze, równie jak miłość moją, bo ofiara którą dla matki poniosłem była bezskuteczna. Przyrzekłszy bronić jéj honoru i nazwiska jako tego co mi jest pierwszem i najdroższem, usiłowałem najprzód załatwić żądania stryja. Proponowałem mu aby objął majątek i chciałem wyjechać z matką za granicę, gdzie byłbym pracował na nasze utrzymanie. Żądałem aby mi zostawił tylko pozór że jestem właścicielem Amstettenu. Lecz tu Ingeborga miała rozstrzygnąć i odrzuciła wszystkie moje propozycje. Nadaremnie przyrzekałem jéj resztę znacznie większą, niżby jéj przypadła jako owdowiałéj hrabinie Amstetten — chciała mieć stanowisko w społeczeństwie, chciała męża należącego do najwyższych sfer, a życzenie to mogła urzeczywistnić tylko za pomocą mojéj ofiary.

Ingeborga nie żyje — zamilczę o małżeństwie którego goryczy nigdy pojąć nie zdołasz. Nawet i moja matka nie znalazła spodziewanego spokoju, bo chociaż mogę sobie przyznać, że jéj nie zasmucałem memi skargami, to jednak nie podobna było łudzić się co do prawdziwego położenia rzeczy. Zamiast spokoju którego szukała, znalazła tylko smutek, bo spokój uleciał z Amstettenu odkąd poznaliśmy winę ojca. Tylko Feliks został swobodnym, szczęście dla niego i pociecha dla matki, zaista drogo okupione. Śmierć nareszcie wszystkich nas wybawiła, wszystkich mówię, bo i Ingeborga w głębi serca nie była szczęśliwą na stanowisku które sama sobie obrała. Gdyśmy zapomnieli cokolwiek o okropnéj katastrofie i hańbie, która ją spowodowała, matka zaczęła znowu pocieszać się nadzieją, weselszego życia, Mówię matka, nie ja; wiedziałem bowiem że śmierć Ingeborgi zerwała wprawdzie moje więzy, ale wzbudzi na nowo pożądliwość stryja. Dla tego milczałem aż dotąd, nie chciałem wiązać twego losu z mojem życiem, nad którem wisi miecz Damoklesa. Ale teraz wszystko ci powiedziałem moja Gertrudo, wiesz już co ci dać mogę, a ty wiesz co możesz wziąść.

Lepiéj zapewne niż ja wiesz o chęciach mego stryja dla ciebie. Proponował ci miejsce w swojem nowem gospodarstwie. Odmówiłaś mu, niedomyślając się nawet, jaką gotował ci zniewagę. Twoja odmowa powiększyła jeszcze bardziéj jego namiętność, jest próżnym i mniema że dasz się uprosić, jeżeli ci ofiaruje tytuł swojéj małżonki, to jest nie małżonki dyrektora wędrownéj trupy aktorów, nie baronowéj Wallmuth, lecz hrabiny Amstetten. Téj chwilowéj namiętności, chce poświęcić honor i spokój całéj rodziny, chociaż nie wie jeszcze, czy tym sposobem dojdzie do celu. Nie przerywaj mi Gertrudo, nie mów mi że sama dasz mu do zrozumienia swój niczem nieprzezwyciężony wstręt, byłoby to daremnem. Tym sposobem rozjątrzysz go tylko, on zaś pocieszy się jutro świeżym wyborem dla którego gotów będzie zrobić to samo.

Chęć ożenienia się trudniéj przechodzi u starców, niż u młodych, stryj nie zaniecha swego zamiaru, oświadczył mi wyraźnie, że wkrótce wystąpi z swemi pretensjami. Teraz nareszcie biedna matka poznała prawdziwy stan rzeczy, a zarazem odzyskała całą swą wielkość duszy. Widzi że nie może spodziewać się od niego ani łaski ani litości, poznaje że wieczna trwoga i tajemne upokorzenie przed tym człowiekiem, gorsze są nawet niż szyderczy śmiech świata. Gdyby pierwsza żona mego ojca, nie była umarła ze zgryzoty, a przynajmniéj gdyby jéj dziecko żyło jeszcze, byłoby to nawet chociażby stryj przyrzekł tajemnicę, obowiązkiem i koniecznością ustąpić z miejsca, które się nam nie należy. Całym naszym ratunkiem było to zrządzenie losu, w innych warunkach matka nie byłaby się nawet wahała. Teraz sama widzi, że niepodobna żyć dłużéj blaskiem pożyczonym.

Gdy ja tu z tobą mówię, wyjawia ona Feliksowi smutną tajemnicę. Jestem przekonany, że brat mój okaże należną godność i potrafi postarać się dla siebie o chleb, honor i nazwisko. Ale ty Gertrudo jesteś kobietą, serce dziewicze nie ma męzkiéj siły. Czyż kochasz mię tyle, że bez obawy odważysz się pójść ze mną po ciernistéj drodze po któréj ja iść muszę? Gdy się widziałem bogatym, swobodnym i szanowanym, pragnąłem ozdobić weselem i blaskiem życie twoje młodociane, ale teraz jestem ubogim i opuszczonym, odepchniętym przez tych którzy dawniéj cisnęli się do mnie z uszanowaniem. Jestem tylko wolnym. Wolno mi stworzyć sobie szacunek, zbudować własne skromne ognisko i kochać ciebie. Czyż będziesz kochać mię znowu Gertrudo, zaufaszże mojéj miłości i nie zwątpiszże gdy i chmury ukażą się na naszem niebie?

— Nigdy, nigdy! zawołało dziewczę tuląc się do jego piersi; przy twojem sercu niczego się nie boję.

Wtem drzwi się nagle otwarły, wpadł pan Tornton przerażony i zawołał z cudzoziemska:

— Miss, o miss, czy pani nie słyszysz? dzwonimy na panią i wołamy: pani Steinlach dostała pomięszania zmysłów. Woła że jest oszustką, że chce pokazać światu prawdziwego spadkobiercę Bonrathu i Amstettenu, a teraz leży martwa czy zemdlona w objęciach tego pana o którym mówi że to on.

Paweł i Gertruda zdumieni pospieszyli do drzwi na półotwartych, przez które mogli widzieć co się działo w pokoju Sybilli.

Stara leżała na kobiercu, oczy jéj były zamknięte, usta blade i milczące, a tym co obok niéj klęczał, trzymał jéj głowę i zgarniał włos biały z poranego bruzdami czoła, był — Ryszard.

XIII.

Pogodnie zachodziło słońce marcowe; w pokoju Sybilli do którego promienie jego nie dochodziły, tuż pod oknem stał stół, przy którym człowiek już niemłody siedział i pisał. W głębi pokoju stało łóżko, około którego siedziało kilka osób, ztamtąd słychać było silny, szorstki głos, który już dobrze znamy. Mówiła jasno i powoli, żadne słowo nie uszło uwagi piszącego pod oknem człowieka, a głos nie drżał, i nie ociągał się jak ręka piszącego, która nieraz wstrzymała się gdy co okropnego napisać przyszło. Słychać było przytem bolesny płacz

drugiéj kobiety, pocieszające i uspokajające szeptanie, ale ów szorstki głos brzmiał ciągle. Sybilla w całem swem życiu mało litości okazała drugim, więc i dla siebie była nieubłaganą.

— Przypadkowe podobieństwo nazwisk ułatwiło mi moją zbrodnią, dyktowała daléj notarjuszowi, przyjacielowi rodziny, kobieta, która wnuka mego szwagra, a syna owego barona Wallmutha, zwiącego się w Ameryce Woodem, miała przywieść do Niemiec nazywała się mistress Hood. Syn jéj, nie wiele młodszy od małego dziedzica, nosił równie jak on imię Ryszard. Szwagier mój jeszcze nie całkiem wyzdrowiał po ataku apopleksji i nie mógł sam pojechać po dziecko do Anglji: poruczył to więc mnie, ponieważ do mnie najwięcéj miał zaufania.

Gdym przybyła do Londynu, syn pani Hood wydał ostatnie tchnienie, a ona, podobnież chora walczyła ze śmiercią. Lecz zbierając myśli z wytężeniem ostatnich sił powiedziała mi, że w jéj kufrze leży metryka zaślubin i zejścia Fanny, tudzież metryka urodzenia dziecka, prosiła abym się zajęła jéj pogrzebem. Ostatni zatem świadek, który mógł przeciwko mnie wystąpić, zeszedł ze świata. Pod pozorem że mam z nią pomówić w interesach familijnych, byłam przy niéj sama i zawołałam dozorczyni dopiero wtedy, gdy pani Hood już nie żyła. Ludzie w gospodzie myśleli że obadwaj chłopcy byli jéj synami, lecz za pomocą papierów znalezionych w kufrze, dowiodłam, że jeden z nich, ten właśnie, który umarł nazywał się Ryszard Wood i był wnukiem pana Steinlach.

Świadectwo moje wystarczyło, bo prócz mego sumienia nikt nie mógł przeciwko mnie wystąpić, a wówczas jeszcze nie wiedziałam jak głos ten może być silnym i niezmordowanym. Władze obejrzawszy zwłoki, wystawiły świadectwa śmierci, dziedzic nie żył! Sześcioletnie dziecko, które nie mówiło jeszcze wyraźnie, na którego ustach nazwiska Hood i Wood brzmiały jednakowo, którego myśli i wspomnienia ogarniały zarówno matkę, jak i panią Hood, nie mogło mi być niebezpiecznem. Doniosłam szwagrowi o śmierci wnuka, napisałam mu, że umierającéj pani Hood przyrzekłam w jego imieniu zająć się losem sieroty, i uporządkowawszy wszystko, powróciłam z dzieckiem do domu.

Szwagier mój, jak to łatwo przewidziałam, zachorował na nowo z nagłego przerażenia, i tym razem śmiertelnie. Raz tylko widział dziecko, i ani mu na myśl nie przyszło, że to wnuk jego; umierając poruczył téj, która go pozbawiła majątku, staranie o jego wychowanie.

— Pani Steinlach! odezwał się Ryszard, biorąc ją czule za rękę, nie zadawaj pani sobie i nam tyle przykrości.

— Daj mi pokój, i nie przerywaj, rzekła szorstko, nikt nie może mi przerywać, ani ty nawet Ryszardzie. Żądam tylko tego, co prawo pozwala każdemu zbrodniarzowi, aby mu wolno było wyznać bez ogródki swoją winę, swobodnie, bez niczyjego wpływu.

Wina moja zaczęła się już wtenczas, gdy przed wielu laty szwagier powrócił do Niemiec wdowcem, bezdzietnym jak mówił. Powinnam była poprzestać na jego przyjaźni i tylu dobrodziejstwach któremi nas obsypał, nie powinnam była pragnąć aby dzieci moje zostały jego spadkobiercami, chociaż było to możebnem, byli bowiem synami jego jedynego brata. To pragnienie stało się początkiem mojéj winy, która potem przybrała takie rozmiary, które Bóg pomścił i która nakoniec złamała serce moje. Kochałam mego szwagra i byłam mu wdzięczną, synów moich nauczyłam kochać go i szanować jak ojca, i miałam to za szczęście że ich kochał. Fabryka, dzieło mego szwagra, która i mnie nastręczała szerokie pole działania, która uczyniła mię swobodną po tylu latach zawisłości i ograniczenia, a dzieciom moim zapewniała zaszczytne stanowisko, kochałam także jak tylko ziemskie dobro kochać można. Powodzenie jéj obudzało we mnie dumę; najgorętszem staraniem mojem było wykształcić praktycznie mego najstarszego syna do powołania które nastręczała. Nie mogę brać za złe szwagrowi, że nie powiedział mi prawdy o swojéj córce. Gdyby to był jednak uczynił, plany moje nie byłyby dojrzały, byłby je zniweczył w zarodzie. A tak zakorzeniały się coraz głębiéj i głębiéj, gdy zaś pewnego dnia powiedział mi, że jego córka dopiero teraz umarła, i że zostawiła nam wnuka i spadkobiercę, który już przybył do Londynu, dumnie owe plany tak już ogarnęły całą mają duszę, że sumienie i honor umilknąć musiały. A jednak byłabym może uratowaną, gdyby przypadek tak zwodniczo nie przyszedł mi na pomoc. Nieustannie odzywał się głos we mnie: to być nie może, tak być nie powinno, to nie mogło być snem! Jednak byłabym musiała zastosować się do rzeczywistości, gdyby okoliczności nie były się złożyły tak szczęśliwie i tak zgubnie zarazem.

Byłeś więc w moich rękach. Ryszardzie, nie potrzebuję przypominać ci chwil twego dzieciństwa, bo zachowałeś je zapewne w twojem biednem, samotnem sercu, w którem tak roztropnie zabiłam wczesnie wszelkie weselsze wspomnienia. Obdarłam cię; wiedziałam o tem i chciałam tego, nie wzdrygałam się przed tem, ale nie wiedziałam, żem cię okradła podwójnie. Zamek Amstetten stał pustką, gdy dziad twój założył tu farbykę, dopiero na kilka miesięcy przed naszem przybyciem, przeszły dobra w ręce nowego właściciela, który nigdy się tu nie pokazał. Dlatego też mało o nim mówiono, a sąsiedzi nasi, którzy może cokolwiek wiedzieli, nigdy o nim nic nie mówili, zapewne dla tego, ponieważ był nam nieznajomym. Tak więc nie wiedziałam o podwójnéj winie, ale i jedno oszustwo dość mię ucisk. Czułam niejakie usprawiedliwienie, patrząc na dzieci dla których się to stało, ale widok twojéj bladéj smutnéj twarzyczki przejmował mię trwogą, która wkrótce przeszła w uczucie pokrewne nienawiści. Cisza nastała w głębi mojego serca, a jednak smutne twoje oczy, które wszędzie mię ścigały, gdziekolwiek się udałam, ciągle wzniecały we mnie niepokój. Gniewałam się na ciebie, nie mogłam znieść widoku tych oczów. Wygnałam cię więc całkiem i umieściłam u dobréj ale ograniczonéj kobiety, która miała zabić twoje wspomnienia i twój smutek. Jakoż wspomnienia twoje uleciały, ale duch twój czuwał, widziałeś niedolę swego teraźniejszego życia, a owe spojrzenia wyrażające boleść, czy wyrzut czy pytanie, nie przestawały mię prześladować.

Nienawidziłam cię, bo widok twój był cichem źródłem moich cierpień, i czułam to, wypłacałeś mi się w dwójnasób, uciekałeś przedemną jak przed złym duchem. Oddaliłam cię bardziéj i na czas dłuższy, chciałam zapomnieć i być zapomnianą. Paslam serce widokiem moich dzieci, karmiłam dumę rozrostem fabryki: synowie moi zdawali się być trwałemi podporami mego szczęścia!

W tem pierwszy cios ugodził we mnie. Syn mój najstarszy, najlepszy, zginął marnie. Uczułam rękę Boga, uczułam ją kołaczącą do mego serca, ale silnie stałam przy grzechu, w dumie i uporze. A potem wziął Bóg drugiego i ostatniego. Słyszałam głos Jego, rozkazujący do żalu i pokory, ale pycha stanęła na straży i nie wpuściła do serca upragnionego spokoju.

Chciałam złe naprawić, mówiła daléj Sybilla ale nie mogłam się upokorzyć, nie chciałam wyznać żem cię oszukała haniebnie, nie chciałam poddać się karze jak prosta zbrodniarka. Ale Bóg był przeciwko mnie a jego sprawiedliwość jest niewyczerpaną jak jego miłość, jak jego potęga. Odrzucałeś moje podarunki, moje propozycje, gdym cię chciała ustanowić spadkobiercą mojego majątku wszystkiemu dumnie i statecznie odmawiałeś. Bóg domagał się sprawiedliwości, a nie łask pozornych, dla tego dał ci serce harde, abyś ich nie przyjmował. Wtedy Ryszardzie zaczęłam cię kochać, kochać tak gorąco i rozpaczliwie, jak cię przed tem nienawidziałam. Widziałam że serce twoje pełne łagodności i dobroci skłaniało się ku każdemu stworzeniu, tylko przede mną uciekałeś, przeczuwałeś piętno na mojem czole, chociaż nie wiedziałeś o niem. Nigdy nie usłyszałam słowa miłości z twoich ust, nigdy nie widziałam wdzięczności w twoich oczach, twoje uśmiechy i wesołość zwracały się ku innym, mnie dawałeś tylko to co ci nakazywał zimny, wstrętny obowiązek. Gdy Ferdynand Steinlach odziedziczył fabrykę, straciłam wszelką możność uczynienia cię jéj właścicielem, nienawidziłam Steinlachów, bo wiedziałam że posiedli Bonrath nieprawnie. Nienawidziłam ich podwójnie, bo widziałam że ich kochałeś. A jakże łatwo i bez troski dostał się im ten dar, o który na kolanach i gorącemi łzami nadaremnie Boga błagałam. Steinlach był panem, a ty jego sługą na twojéj własnéj zagrodzie! Serce mi pękało, ale się nie ugięło. Zaczęłam znowu walczyć z losem, chciałam uczynić cię szczęśliwym bez niego, chciałam odpokutować moją winę nie upokorząjąc się przed nim. Wzięłam do siebie Gertrudę dziewczynę pełną wdzięków, córkę ubogiéj kobiety, wybadałam jéj serce i rzekłam pozyskaj go, postaraj się aby przyjął bogactwo z twojéj ręki, a wszystkim będzie lepiéj. Ale Bóg nie pozwala szydzić z siebie. Amstetten pozyskał miłość Gertrudy, a serce Ryszarda zostało zimne i widziałam dokąd się zwracało wbrew moim zamysłom. Nienawidziłam właściciela fabryki, ale fabryka, jéj powodzenie i świetność były moją dumą. W tem zachwiały się filary domu, rzetelność i pracowitość i gmach runął w gruzach. Pożar a następnie bankructwo wykreśliły nazwisko Steinlachów z rzędu firm szanownych. Był to straszliwy sąd Ryszardzie, dosyć byłoby tego dla wielu grzeszników w dniu ostatecznym, ale serce moje nie zmiękło. Gdym przyszła do siebie z pierwszego przerażenia, upadek domu wzniecił we mnie nadzieję wzniesienia go na nowo dla ciebie! Chciałam jeszcze raz spróbować, łudząc się że może przyjmiesz dobrowolnie to co ci prawnie przynależy. Wiedziałeś, że ta którą kochałeś była dla ciebie straconą, wiedziałeś że los jéj był zapewniony, wiedziałeś też że wolałabym wrzucić pieniądze na dno morza, niż dać je Steinlachom, którzy skradli mi twoją miłość. O wiem ja Ryszardzie co znaczy kraść, to nie uzyskuje nigdy przebaczenia.

Ofiarowałam ci mój majątek i serce moje uciszyło się, myślałam że jestem u celu bo przyjąłeś wreszcie majątek. Nadzieje moje sięgnęły tak wysoko umyślnie, aby Pan potężną ręką mógł mię strącić tem głębiéj: dobro nieprawe nie przynosi błogosławieństwa. Nie mogłam kupić ci szczęścia, ani sobie spokoju, darowałeś majątek, i znów zostałeś sługą. Wówczas zachwiała się moja zachwiała i py-

cha moja runęła w gruzy, szukałam Boga! ale nie mogłam go znaleść.

Po południu przyszedł pan Thornton, od niego dowiedziałam się że z mojéj przyczyny utraciłeś i ojczysty majątek: wina moja wzrastała a siły nikły. Chciałam się nareszcie upokorzyć i mieć pokój.

— Daj go Boże, rzekł Ryszard dźwięcznym głosem.

— Amen, odpowiedzieli mężczyzni i kobiety w około łóżka.

Sybilla milczała, zdawała się być wycierpaną z sił, ale też i zeznanie jéj było już skończone, a notaryusz który pod oknem spisywał protokół, położył pióro.

— Nie płacz pani, rzekła po chwili do hrabiny; stojącéj opodal z obu synami; nie płacz pani, bo tracisz tylko majątek, a honor twój i życie bez zmazy, zostaną ci na zawsze. To co świat hańbą nazywa, skutkiem cudzéj winy, nie jest właściwie hańbą; honor jest naszą wyłączną własnością, i żadna istota na ziemi nie ma nad nim władzy, tylko ją nasze własne wywierają namiętności. Pozostaniesz pani tak czystą i bez plamy, jak gdyby błogosławieństwo kapłana, które otrzymałaś, było ważne, na synów swoich z większą jak przedtem dumą poglądać możesz, bo przeszli szkołę nieszczęścia. Czegóż masz pani żałować? Czyż spoczywało błogosławieństwo na tym domu który nie był twoim? Przy ognisku który synowie twoi założą, znajdziesz spokój prawdziwy, błogosławieństwo rodziców buduje dzieciom domy. A teraz Ryszardzie, hrabio Amstetten idź i obejmij twoje dziedzictwo.

Hrabina podniosła się i z wyrazem prawie macierzyńskiéj miłości podała rękę Ryszardowi, któremu zawsze tyle okazywała życzliwości.

— Niechże ci Bóg błogosławi na dziedzictwie ojczystem, rzekła wzruszona, o'byś zaznał tyle radości, ileśmy łez wylali. Bądź godnym przedstawicielem nazwiska, które ci się należy, a honor twój pokryje zapomnieniem błędy ojca.

Ryszard był także rozrzewniony ale okazywał więcéj zimnéj krwi jak wszyscy obecni. Serce jego nawykłe do walki, wyćwiczone od dzieciństwa w sztuce pokonywania swych uczuć, dawno już postanowiło co czynić. Gdy Paweł, jedyny przyjaciel który mu samotną ścieszkę życia uprzyjemniał, przycisnął go silnie do piersi, wzruszenie przemogło i rozwiązało mu usta.

— Mój drogi, drogi przyjacielu, ty pierwszy coś mię ukochał! zawołał rozrzewniony. Stałem się nagle bogatym w miłość, do któréj mam prawo, mając rodzinę. Ale jakkolwiek drogą mi będzie rodzina, ty będziesz pierwszym mój starszy bracie choćaż młodszy latami.

Tylko Sybilla zrozumiała myśl tych słów, lub się jéj domyślała. Nagle zerwała się na łóżku, i dawnym swoim tonem rozkazującym zawołała:

— Prawo, prawo przedewszystkiem, Ryszardzie!

— Moje prawo, odpowiedział Ryszard łagodnie, lecz stanowczo. Sama mi je pani zwróciłaś, teraz nikomu go nie ustąpię. Nikt tu nie ma prawa mówić, oprócz mnie. Kto się ośmieli rzucić kamień na honor mego ojca? Kto się ośmieli znieważyć imię, do którego ja jeden mam prawo? Paweł tylko może nadal nosić to imię bez ubliżenia pamięci mego ojca, mnie ono nie zdobi, z imieniem mego ojca dźwigałbym hańbę jego czynu. Zatrzymaj więc swoje nazwisko Pawle i swoją posiadłość, zostań hrabią Amstetten, a nikt nie może uwłaczać ci tych praw, które dobrowolnie składam w twoje ręce.

Krzyk radości wydarł się z piersi hrabiny, wzięła w objęcia Ryszarda. Ale Paweł wstrzymał matkę.

— Daruj Ryszardzie, rzekł zwracając się do niego, ona słucha tylko głosu serca macierzyńskiego. Nie możemy przyjąć twojéj ofiary. Pani Sybilla ma słuszność, prawo przedewszystkiem.

Ryszard uśmiechnął się.

— Bądź pani spokojna, rzekł pocieszając hrabinę. Tak będzie jak powiedziałem. Brzydzę się bezcześcią, nie chcę nazwiska splamionego, nie pragnę dostatku, oblanego łzami tych których kocham. Każdy z nas musiałby porzucić imię uczciwe a przybrać splamione. Po raz pierwszy i ostatni korzystam z prawa pierworodztwa aby wam powiedzieć, tak będzie a nie inaczéj.

— O Ryszardzie, zawołała hrabina rozrzewniona, wszystko chcesz dać, a sam nic wziąść, nie pragniesz i nic podzielać nie chcesz z nami!

— Jedno tylko, rzekł uprzejmie, chętnie podzieliłbym z Pawłem i Feliksem: to jest miłość macierzyńską którą im pani okazujesz.

Hrabina nie mogła zdobyć się na odpowiedź, lecz przycisnęła go silnie do swojéj piersi, a potem położyła ręce na jego głowie i błogosławiła. Ryszard ucałowawszy jéj rękę zbliżył się do łóżka Sybilli, usiadł na niem i rzekł z cicha:

— Teraz będzie pokój.

— A kiedy przyjdzie szczęście? zapytała jakby z wyrzutem. O Ryszardzie Ryszardzie, jesteś nieubłagany w twojéj dobroci i w twojéj dumie, nic przyjąć nie chcesz, a oczy moje niezamkną się, póki cię nie ujrzą szczęśliwym.

— To zależy od Boga, nie od nas, rzekł po chwili namysłu.

Wkrótce potem wstał, uściskał obu braci i szepnął Feliksowi:

— Ty jesteś najbogatszy i najszczęśliwszy, od ciebie tylko zażądam kiedyś rachunku.

Feliks ze zdumieniem popatrzył za nim gdy wychodził z pokoju. Nie zrozumiał myśli Ryszarda; sądził iż była to wymówka, za młodzieńczą lekkomyślność jaką niekiedy okazywał. Że jednak nie znosił nigdy mentorstwa, ton ten niezwykły przeniknął go do głębi.

XIV.

Ryszard potrzebował wypoczynku; nie lubił on okazywać swoich wzruszeń, a nie mógł ich poskromić. Tak więc wszystko postradał: stopień, bogactwo, stanowisko a nawet ją, któraby mu za wszystko starczyła. Nawet ją, z jéj wesołością i wszystkiemi wdziękami, które ją zdobiły, i miały na nowo zakwitnąć w posiadaniu ojcowizny, którą jéj powrócił. Bez uczucia zazdrości myślał o Feliksie, o nowym dopiero znalezionym bracie, ale gdy rozważył, że teraz on coraz więcéj i więcéj wypełniać będzie życie Malwiny, że do niego będą teraz należeć wszystkie jéj uśmiechy, wszystkie jéj myśli, uczuł ból w sercu. Na cóż przydałby się mu Amstetten i Bonrath bez niéj? On tylko jéj pragnął, tego wesołego, śmiejącego się dziecka, które chciał widzieć szczęśliwem, choćby za cenę własnéj spokojności. I dla tego dziękował Bogu, że mu wolno było złożyć w jéj ręce część swego majątku dla uzupełnienia jéj szczęścia. Siedział na zwykłem swojem miejscu przed biurkiem, na którem troskliwa służąca już dość dawno postawiła lampę. Robił i dziś rachunki, i wiedział że wszystko czego pragnęło serce jego obróciło się w niwecz.

Wtem otworzyły się zcicha drzwi, podniósł zasłonę lampy i ujrzał na progu piękną, ukochaną postać.

— Ryszardzie, rzekła zbliżając się nieśmiało, czy nie gniewasz się że tu przyszłam? Nieraz mi tego broniłeś, lecz ja nie widzę w tem nic złego, a od dwóch dni ani się pokazałeś, siedząc ciągle u ciotki Sybilli. Mam ci tyle do powiedzenia Ryszardzie. Wracając od ciotki o któréj zdrowie się dowiadywałam, postrzegłam światło w twoim pokoju... wstąpiłam więc na chwilę; czy pozwolisz mi zostać troszeczkę?

Mówiła prędko i spiesznie ale głos jéj miękki, dziecinny, miał w sobie coś dziwnie zniewalającego. Żywy obraz najmilszych a oraz najboleśniejszych myśli, stał teraz przed nim w całym powabie swoich uroczych wdzięków.

— Malwino, rzekł, chciałbym cię mieć zawsze przy sobie.

Postawił drugie krzesło tuż przy swojem. Malwina usiadła.

— Czegóż chciałaś ode mnie Malwino? zapytał czule, ulżyj swemu sercu.

— Bo też tak mu ciężko, rzekła z uśmiechem, ale zarazem tłumiąc łzy; już to nie to co dawniéj.

—Malwino! zawołał przerażony; cóż się stało? kto cię zasmucił?

— Ty, rzekła, ale pozwól mi mówić. Dla czego dałeś mi Bonrath?

— Dla czego? spytał zdumiony. Bo go kochasz, bo potrzebujesz domu jak ptak gniazda. Feliks nie jest bogaty, a potrzeba wam wiele, ja zaś nic nie potrzebuję, prócz tego co miałem zawsze, miejsce przy fabryce i miejsce w twojem sercu.

— I ja nie potrzebuję więcéj Ryszardzie! rzekła na pół smutno, na pół hardo, a łzy zaświeciły w jéj oczach. Nie jestem ptakiem i nie chcę wcale gniazda. Feliks jest bardzo dobry, nigdy mu tego nie zapomnę, ale pójść za niego nie mogę. Byłoby to grzechem i z mojéj i z jego strony.

Ryszard zadrżał, wszystkie jego pulsa uderzyły gwałtownie, ale jeszcze poskromił myśli i nadzieje które zdawały się mu szaleństwem.

— Nikt cię nie przymusza Malwino, rzekł poważnie, jeżeli nie Feliks, tedy zdarzy się kto inny a wówczas przyda ci się siedziba, którą miłość moja ci ofiarowała.

— Twoja miłość — rzekła zamyślona; a czy ty zawsze jeszcze mnie najbardziéj kochasz?

— Zawsze, zawsze, odpowiedział.

Stanęła przed nim, jasne jéj oczy zdawały się przedzierać do głębi jego wzburzonego serca. Objął jéj kibić drżącemi rękami jak wówczas podczas balu, lecz i dziś zawołał jak wtedy:

—Idź, idź Malwino, i nie przychodź nigdy, nigdy... tak.... nigdy.

Ale Malwina nie ruszyła się z miejsca.

— Nie pójdę, rzekła zcicha. Wszakże kochasz mię. Jeźli to prawda, dla czegóż nie mam zostać na zawsze przy tobie? Dla czego dom i szczęście nie mają nam być wspólne? Jestem jeszcze młodą Ryszardzie, a kocham cię tak niewymownie, że wszystkiego jeszcze mogę się nauczyć, czego mi nie dostaje aby cię zadowolnić. No, pękły lody, rzekła w żywem wzruszeniu i sparła głowę o jego pierś. Wiesz już wszystko i nie potępisz mię że to zrobiłam. Wszak wiedziałeś wszystkie, wszystkie myśli mego serca, dobre i złe, musiałam i to powiedzieć Ryszardzie ponieważ ty tak długo milczałeś.

A on milczał i teraz, aż zapytała go niespokojnie:

— Ryszardzie, czy mię nie kochasz dlatego, ponieważ ci moją miłość odsłoniłam?

Ryszard ocknął się, porwał ją i przycisnął do przepełnionego radością serca, a chociaż Malwinę w naiwności swojéj przeraziła się tym wybuchem namiętności, której głębi i mocy nie pojmowało młode dziecinne jéj serce, przejęta zachwytem przylgnęła z niezachwianem zaufaniem do téj wiernéj mezkiéj piersi, która miała być odtąd jéj tarczą i puklerzem.

Godziny mijały a oni nie postrzegli tego wcale. Pusto i cicho było już w pokoju Sybilli gdy tam weszli oboje. Staruszka leżała spokojnie w łóżku i była sama, jak to oddawna było jéj zwyczajem. Po raz pierwszy Ryszard wszedł śmiało i bez namysłu.

— Pani Steinlach, zawołał, ocknij się pani. Znalazłem szczęście.....

Podniosła się na pierwszy dźwięk jego głosu który dziwnie wydał się jéj zmienionym. Zdumiona poglądała to na niego, to na Malwinę, którą trzymał za rękę.

— Kochaj ją pani i pobłogosław, uczyniła mię najszczęśliwszym z ludzi! Mówiłaś pani, że tylko moje szczęście przyniesie ci uspokojenie, otóż jest szczęście dla mnie a dla ciebie uspokojenie.

Usiadła na łóżku, popatrzyła na pełną uroku dziewicę, która stała przy niéj jak anioł radości i pocieszenia, i powoli ponure jéj wejrzenie przybrało wyraz zachwytu i dziękczynienia.

— Panie, wielbię ciebie, rzekła składając ręce, puść mię teraz w pokoju, widziałam twoją wszechmocność. Niech będzie błogosławiony mój Bonrath i niech powstanie na nowo w blasku, niech będą błogosławieni wszyscy, którzy chcą tu wdzięcznie używać darów bożych.

Kto teraz, w kilka lat późniéj odwiedzi tę piękną okolicę i ujrzy zdala wyniosły komin fabryki, dowie się na pierwsze zapytanie, że jest ona własnością pana Ryszarda Hood, człowieka bogatego, który z niezmordowaną gorliwością zajmuje się swoim zakładem. W jego domu widać zamożność i okazałość, lecz nie ma zbytków, które sprowadziły upadek poprzedniego właściciela. Dawny przepych zastępuje teraz stateczna i miła wesołość młodéj gospodyni, z radością przypatrującą się dwom dziarskim chłopaczkom, igrającym na miękkiéj murawie. Ona jest zaszczytem i wspaniałością domu, jego błogosławieństwem i jego czcią. Codzień odczuwa to Ryszard, gdy miękką ręką zgarnia pot z jego czoła i troski rozprasza. Rodzice jéj mieszkają obok w oficynie; pan Steinlach zajmuje się z sumienną gorliwością sprawami fabryki, a pani Georginia w dzieciach tylko i wnukach całą roszkosz i pociechę znajduje.

Paweł ożenił się z Gertrudą. Młoda mężatka skromnością i licznemi wdziękami zaciera w nim smutne wspomnienia o Ingebordze. Słynie wcale jéj okolicy szczególniéj z gościnności, najczęstszemi jednak i najdroższemi w zamku gośćmi jest właściciel fabryki i jego żona, którym hrabina i jéj synowie, okazują zawsze miłość bez granic.

Feliks dokładał wszelkich starań aby panu Thorton swemu teściowi ułatwić nabycie innych dóbr w okolicy, a pięknéj Klementynie natręczyć sposobność sąsiadowania z siostrą. Nie wszystko jednak udaje się na świecie, tak też stało się z tym kupnem. Ale Feliks ma głowę obfitującą w wynalazki; otóż potrafił nakłonić Klementynę aby zimę przepędzali w mieście, a lato w Amstetten, czem dogodził także i panu Thornton lubiącemu zmianę miejsca i małe podróże.

Co do dyrektora teatru, zeznanie pani Sybilli, tajemnica familijna, którą notarjusz zapieczętował przysięgą wiecznego milczenia, powinna była zachwiać wiarę w słuszność jego pretensji, lecz nie osłabiła nadziei. Dowód strony przeciwnéj, oparty tylko na zeznaniu pani Sybilli, trudnym był do prowadzenia i proces, którym dyrektor teatru zagrażał, byłby się może rozpoczął, gdyby Ryszard swoją zimną krwią i rozsądnemi przedstawieniami nie był na niego wpłynął skuteczniéj, niż hrabia Paweł namiętnym gniewem. Okoliczności zmieniły się dla niego bardzo niekorzystnie; o ile Paweł musiał cofać się bez oporu, o tyle Ryszard silnym był przeciwnikiem. Ryszard dał mu do zrozumienia: że w sześćdziesiątym piątym roku życia nie warto rozpoczynać procesu, który strona przeciwna wszelkiemi siłami przedłużać będzie w nieskończoność. Trudno więc brać za złe baronowi Walmuth, że wszystkie okoliczności rozważył ostrożnie. Widział że bądź co bądź Gertruda jest dla niego straconą, a myśl że na czas procesu byłby pozbawionym wszelkiego utrzymania, dokonała reszty. Zrzekł się więc stanowczo wszelkich pretensji, ułożywszy się tylko o pensję dożywotnią. Pobierał ją jednak bardzo krótko, bo prowadząc życie lekkomyślne pełne najniestosowniejszych w tym wieku wybryków, przyspieszył sobie atak apopleksji, który śmierć jego spowodował.

A Sybilla? Żyje ona dotąd. Silna jéj natura, która oparła się tylu strasznym burzom, nie uległa i radości. Jak niegdyś, widać ją często, tylko nieco przygarbioną, gdy spieszy na cmentarz. Nie odtrąca już kwiatów, złożonych tam ręką młodéj właścicielki fabryki, a mali chłopcy, noszący imiona jéj synów, nie uciekają przed nią jak niegdyś, Malwina. Lecz i dla czegóż mieliby uciekać, staruszka kocha ich, pieści, dźwiga nieraz na silnem jeszcze ręku i mówi, niech was Bóg błogosławi!

KONIEC.

WSPOMNIENIA
Z PODRÓŻY PO WŁOSZECH

PRZEZ

Aleksandra Dumasa (ojca)

(Dalszy ciąg.)

Sędzia rozwinął weksel i zaczął czytać.

— Rzeczywiście jest to weksel, ale nie ma na nim podpisu.

— A to co? krzyknął żyd, zbladłszy jak ściana

— Czytaj sam! rzekł sędzia.

I oddał weksel żydowi, który o mało nie upadł na ziemię.

— Podły szachraju! zawołał, obróciwszy się do Don Filipa — zapłacisz ty mi za to.

— Przepraszam cię panie Feliksie — ale nie ja tobie, tylko ty mi zapłacisz.

I zwracając się do sędziego rzekł:

— Panie Sędzio! biorę pana na świadka, że zostałem zelżony, w obec całego Trybunału, bez żadnéj przyczyny. Proszę o stosowny akt.

— Akt będzie zaraz wydany — rzekł Sędzia.

Opatrzony takim dowodem, Don Filip pozwał żyda o obelgi, a że zniewaga była publiczną, wyrok nie dał na siebie czekać. Skazano żyda na trzy miesiące więzienia i 1,000 fr. kary.

Teraz wytłomaczmy kwestję podpisu.

Zamiast umaczać pióro w atramencie, Don Filip po prostu umaczał je w ustach i podpisał się śliną. Potem na mokre jeszcze pismo posypał niebieskiego piasku, a piasek odbił wyraźnie litery. Kiedy ślina wyschła, piasek sobie powędrował a razem z nim zniknął i podpis.

Don Filip zyskał tysiąc franków na tym figlu, ale stracił do reszty kredyt. A tysiąc franków, żeby nie wiem jak oszczędnie żyć, nie mogą trwać wiecznie: zrestą Don Filip ufał swojéj zręczności i szczęściu. Rozpoczął negocjację o nową pożyczkę, ale sprawa z Feliksem narobiła wielkiego hałasu, a chociaż nikt nie żałował lichwiarza, nikt jednak nie chciał mieć do czynienia z kuglarzem, który umie zmazać podpis w kieszeni wierzyciela.

Tymczasem nadszedł Kwiecień. W Neapolu czwarty Kwietnia jest terminem prawnym do zmiany mieszkania. Don Filip winien już był za dwa kwartały. Właściciel zawiadomił go, że jeżeli w przeciągu dwudziestu czterech godzin nie zapłaci, to naprzód już obmyśli prawne środki do wyrugowania go przy końcu trzeciego kwartału. Skończył się i trzeci kwartał a Don Filip nie zapłacił; zabrano mu i sprzedano meble z wyjątkiem łóżka jego i jego gospodyni, która nie chciała go porzucić. W wiliją wyprowadzenia się poszedł na miasto szukać sobie nowego pomieszkania. Sprawa była bardzo ciężka, bo Don Filip był już dobrze znany w całym Neapolu. Widząc ze niepodobna było ułożyć się z jakim właścicielem po przyjacielsku, postanowił zdobyć sobie mieszkanie gwałtem lub podejściem. Znał jeden dom, którego właściciel stary skąpiec, nie chciał wcale naprawiać, to też lokatorzy pomału wynieśli się od niego. Kiedy indziéj aniby spojrzał na ten dom, ale teraz nie zważał na takie bagatele. Przekonał się naocznie, że dom był pusty; kiedy noc przyszła wyprowadził się ze swoją służącą a każde z nich niosło swoje łóżko do nowego mieszkania. Brama była zamknięta ale okno było otwarte, wlazł oknem, otworzył drzwi swojéj towarzyszce niedoli, wybrał najlepszy pokój dla siebie, drugi dla służącéj, a w godzinę potem oboje spali już snem sprawiedliwych.

W kilka dni potem właściciel oglądając swój dom, ujrzał że ma w nim lokatora. Wielki los! ba od trzech lat nikt już u niego nie mieszkał. Cofnął się nie wyrzekłszy ani słowa, ale wezwał dwóch sąsiadów na świadectwo że mieszkanie zajęte.

W dzień terminu Don Bernard zjawił się z poświadczeniem sąsiadów w ręku, i ukłoniwszy się głęboko rzekł.

— Przyszedłem prosić pana o pieniądze, któreś mi winien za lokal, wynajęty przez pana bez mojéj wiadomości.

— Mój drogi i szanowny przyjacielu! — odpowiedział Don Filip ściskając go za rękę serdecznie, zapytuj się wszędzie w całym Neapolu, czy ja kiedy zapłaciłem gdzie komorne! Jeżeli choć jeden właściciel odpowie ci twierdząco, to ci zapłacę dwa razy tyle ile żądasz ode mnie; daję na to słowo honoru, ja Don Filip Villani.

Don Filip chwalił się, ale bywają okoliczności kiedy trzeba kłamać, żeby przerazić nieprzyjaciela.

Usłyszawszy to straszne nazwisko Don Bernard zbladł; nie wiedział bowiem, kto to wprowadził się do jego domu. Stanął mu zaraz przed oczy przeklęty czarnoksiężnik, który nie tylko nic nie zapłacił

za lokal, ale w dodatku może zgubić jego duszę i posłać ją do piekła. Sąsiedzi jego utrzymywali, że więcej dbał o zapłatę niż o duszę. Odszedł spokojnie do siebie żeby się namyśleć co począć. Gdyby był kulawym djabłem, byłby zdjął dach, ale ponieważ był sobie po prostu zwyczajnym człowiekiem, postanowił także po prostu zawalić dach, coby może nie długo i sam dach by zrobił. Była to pora deszczów, a kiedy w Neapolu deszcze padają to jak z cebra.

Właściciel odwiedził znowu lokatora. Jak kiedyś bardzo dawno temu, nasi ojcowie uciekali z dolin na góry przed powszechnym potopem, tak Don Filip usuwał się przed deszczem z pokoju do pokoju. Don Bernard myślał ze lokator wyniósł się już, ale złudzenie krótko trwało. Idąc za głosem swego gościa, dostał się do gabinetu nie tyle przemokalnego co reszta domu i znalazł go na łóżku z rozwiniętym parasolem, deklamującego całemi piersiami znany wiersz Horacjusza:

Nieustraszonego zawalą ruiny.

Don Bernard stanął zdumiony tą bohaterską rezygnacją — potem rzekł.

— A zatem pan nie chcesz wyprowadzić się z mojego domu?

— Posłuchaj mię mój drogi przyjacielu, mój szanowny właścicielu — odpowiedział Don Filip zamykając książkę. Żeby mię ztąd wygnać, musisz mi wytoczyć proces bo nie zrobiliśmy kontraktu a ja zajmuję mieszkanie. Owoż zezwolę naprzód na wyrok zaoczny: jeden miesiąc. Potem założę oppozycję: drugi miesiąc. Ty zyskasz wyrok: trzeci miesiąc. Ja pójdę do kassacyi: czwarty miesiąc. Owoż przedłużając tak sprawę może się to pociągnąć cały rok... A koszta?

— Jak to, koszta? przecież to pan zostaniesz skazany na koszta!

— Z wszelką pewnością, ale ty je zapłacisz, bo ja nie mam ani grosza a ty jako powód musisz koszta naprzód płacić.

— Niestety! to prawda! mruknął biedny właściciel.

— Cała ta sprawa pachnie 600 talarami.

— Prawie tyle! westchnął Don Bernard, który już w myśli porachował honorarja adwokatów, pisarzy, komorników.

— A zatem ułóżmy się mój drogi gospodarzu! To będzie lepiej.

— Tego tylko pragnę — zobaczmy.

— Daj mi połowę tej summy a ja spokojnie wyniosę się zaraz z twojego domu.

— A to co znowu? Ja mam dać ci 300 talarów, żebyś się wyniósł, kiedy ty mi winieneś za dwa kwartały.

— Jak mi dasz pieniądze, to się skwitujemy.

— Ależ mój panie!..

— Tylko bez grubjaństwa! Wiesz dobrze że się to nie powiodło papie Feliksowi.

— No! dam panu 50 talarów — rzekł Don Bernard przemógłszy swoje skąpstwo.

— Trzysta talarów! Ani grosza mniej, ani grosza więcej.

— Nigdy!

— Pamiętaj, że za kilka dni zażądam całych 600 talarów.

— Nie chcę! wolę proces, chociażby mię kosztował tysiąc talarów.

— Wytocz więc proces!

— Adie! jutro dostaniesz pozew.

— Czekam.

— Niech cię djabli porwą!

— Do przyjemnego widzenia.

Kiedy Don Bernard wychodził wściekły, Don Filip zaczął na nowo deklamować odę Horacjusza.

Minęło jutro, minęło pojutrze, minął cały tydzień a pozwu nie było widać. Przeciwnie, po dziesięciu dniach zjawił się sam gospodarz, łagodny jak baranek słodki jak miód, i tak przemówił:

— Mój drogi lokatorze! tak umiesz trafić do przekonania, że się musi stać na twojem. Oto są 300 talarów — a teraz wynoś się co prędzéj.

— Gdybyś był mi je dał tego samego dnia!..

Ale pamiętasz że cię ostrzegałem co się stanie. Zapłacisz mi 600 talarów wtedy wyniosę się.

— Bój się Boga! Chcesz mię zgubić.

— Jest to dwudziesta część tego co ci daje za ten dom lord Blumfild.

— Corpo di Bacco! Wiesz o tem?

— Ja wszystko wiem.

— Toś chyba czarnoksiężnik.

— Cały Neapol mię zna i lord Blumfild także. Jak mu dziś wieczór nie dasz stanowczej odpowiedzi, to jutro kupi dom od papy Feliksa.

— Dam ci 450 talarów.

— Sześćset, mój drogi gospodarzu! Za tydzień 1,200.

— Masz więc 600 talarów i napisz mi rewers — chociaż powiadają że twój rewers a nic to wszystko jedno.

— Oto jest rewers podpisany.

— A teraz!... odezwał się Don Bernard pokazując mu drzwi.

— Co słusznie to słusznie! — odpowiedział Don Filip, zabierając się do wyjścia.

— A służąca?

— Marjo! zawołał Don Filip — Marjo! moje dziecię, wyprowadzamy się, pożegnaj pana gospodarza, weź mój parasol i chodź za mną.

Marja wzięła parasol, ukłoniła się uniżenie Don Bernardowi i poszła za panem.

Nazajutrz właściciel czekał cały dzień na lorda Blumfild; czekał cały dzień pojutrze, czekał cały tydzień — lorda jak nie było tak nie było. Biedny Don Bernard zwiedził wszystkie hotele, nigdzie nie słyszeli o lordzie Blumfild. Pewnego wieczoru będąc w teatrze, ujrzał aktora jak dwie krople wody, podobniuteńkiego do lorda Blumfild. Udał się po objaśnienie do dyrekcji, która mu wytłomaczyła, że to jest aktor Bori, grający wybornie role anglików wszelkiego stanu i wieku. Na traf zapytał się jeszcze czy czasem aktor nie zna się z Don Filipem? Odpowiedziano mu, że to są najlepsi przyjaciele a nawet Don Filip pisze pochwalne artykuły dla Borego w gazetach.

Taki niespodziewany przypływ gotówki pozwolił Don Filipowi nająć sobie lepsze mieszkanie i sprawić jakie takie mebelki. Dla uspokojenia właściciela zapłacił z góry kwartalne.

Ale sześćset talarów w rękach takiego człowieka jak Don Filip, to proch. W pół roku ani śladu po nich nie było. Ale przez ten czas poprawił sobie kredyt, tak że kiedy mu brakło pieniędzy mógł znowu dostać na weksel, 200 talarów. Te nowe talary poleciały wnet za dawnymi, a weksel został. Jedna tylko rzecz nie ginie nigdy na świecie — weksel.

Ale każdy weksel ma termin. Nadszedł i termin Filipa — za terminem nadszedł wierzyciel — za wierzycielem woźny — za woźnym koza. Taki jest naturalny prządek rzeczy.

Pewnego dnia wieczorem Don Filip wracając do siebie, przyniósł przepyszną chińską i japońską porcelanę, tylko że porcelana była... w kawałkach. Ale za to, jak mówi francuzki śmieszek, ani jeden z tych kawałków nie był stłuczony.

Przy pomocy swojéj służącej postawił kulawą etażerkę przy drzwiach, a na niéj poukładał starannie porcelanę. Potem się położył spać i czekał co się stanie.

Łatwo zgadnąć co się stało. O ósméj rano zapukał do drzwi woźny: nikt się nie odezwał. Zapukał drugi raz — milczenie, zapukał trzeci raz — nicość. Poszedł więc po komisarza policji i po ślusarza. Wszyscy trzéj wrócili do drzwi Don Filipa. Komisarz kazał ślusarzowi otworzyć drzwi — ślusarz otworzył ale z drugiéj strony coś jeszcze przytrzymywało drzwi.

— Czy mam pchnąć? spytał się ślusarz.

— Pchnij! rzekł komisarz.

W téj chwili rozległ się trzask i brzęk jak gdyby cały kram szkła i świecideł upadł na ziemię. W pokoju powstał rozpaczliwy krzyk.

— Gwałtu! na pomoc! rabują! zabijają. Jestem zgubiony! Zrujnowany!

Komisarz wszedł, za nim woźny, za woźnym ślusarz. Zastali Filipa jak sobie włosy wydzierał, wpatrując się w kawałki porcelany, która się na drobne kawałeczki rozleciała,

— A nieszczęśliwi! wołał ujrzawszy ich — potłukliści mi porcelanę wartującą 2000 dukatów.

Cena ta byłaby bardzo niska, gdyby porcelana nie była potłuczona — ale o tem nie wiedzieli ani komisarz, ani woźny. Widzieli przed sobą kawałki, przewróconą etażerkę i rozpaczającego Don Filipa. Chociaż przed prawem nie byli odpowiedzialni, ale przed właściwem sumieniem bardzo. Domyślacie się, że nie było wcale mowy o zabraniu i aresztcie. Jak to chwytać człowieka za mizerne 150 talarów, kiedy mu się zrobiło szkody na 2000 dukatów.

Komisarz i woźny jak mogli pocieszali Don Filipa, który im oświadczył, ze nie chodzi mu o 2 000 dukatów, ale o to że porcelanę tę złożył u niego dobry znajomy, wielki amator i znawca, i że honor jego dużo na tem cierpi. Słudzy sprawiedliwości porozumieli się z sobą i bojąc się żeby się sprawa nie rozmazała, ofiarowali mu 300 dukatów i wstawienie się do wierzyciela, żeby mu jeszcze trzy miesiące poczekał. Prawo pozwala zabierać meble i rzeczy, ale nie pozwala rozbijać ich i psuć. Don Filip, chociaż z wielkim bólem, przystał na wszystko. Komisarz i woźny oddalili się.

Termin przedłużony znowu nadszedł. Don Filip nie zapłacił ani grosza. Wynikło ztąd że pewnego pięknego poranku, don Filip wyjrzawszy oknem na ulicę, co zwykle czynił kiedy był zagrożony kozą, spostrzegł że przed bramą domu czatują na niego wysłańcy sądowi. Don Filip był filozofem — postanowił dotąd rozmyślać cały dzień nad marnościami tego świata i nie wychodzić tylko wieczorami. W dodatku było to lato, a latem nikt nie wychodzi w dzień w Neapolu tylko psy i łapacze.

Przez ośm dni wysłańcy pilnowali domu ale napróżno.

Dziewiątego dnia Don Filip wstał, jak zwykle, o dziesiątéj, bo od niejakiego czasu stał się bardzo leniwym. Wyjrzał na ulicę, ulica była wolną ani jednego łapacza! Don Filip znał dobrze swojego nieprzyjaciela to też ani przypuszczał, żeby go tak spokojnie z rąk wypuścił. Albo się ukryli i chcą go znienacka złapać, coby pobił ubliżeniem dla nich i dla niego, albo poszli do prezesa Trybunału żeby uzyskać pozwolenie aresztowania w domu. Myśl ostatnia uwięzła mu w głowie, genialnym instynk-

tem, walka zawzięta zaczęła się, trzeba nieprzyjaciela uprzedzić.

Don Filip, jako roztropny wódz, nigdy nie stawał bitwy, jeżeli nie był pewnym wygranéj. Na ten raz nie chodziło o to żeby się bić, ale żeby uciec, żeby znaleźć bezpieczne schronienie. Trzeba było jakimkolwiek sposobem dostać się do kościoła, bo w Neapolu kościół jest ocaleniem dla złodziei, morderców, ojcobójców a nawet dla dłużników.

Ale dostać się do kościoła nie było łatwą rzeczą. Najbliższy znajdował się o 600 kroków. Nagle genialna myśl mignęła mu w głowie. Służąca jego zasłabła wczoraj; poszedł do niéj i zastał ją w łóżku wziął ją za rękę i pomacał puls.

— Kochana Marjo! rzekł kiwając głową — dzisiaj ci gorzéj niż wczoraj.

— Nie! proszę pana — owszem czuję się zdrowszą i zaraz wstanę.

— Nie rób tego, bój się Boga! Nie pozwolę na to. Puls mały, prędki, przerywany, suchy. Widocznie zapalenie płuc.

— Co to za choroba? proszę pana.

— Jest to zapchanie kanałów, które przeprowadzają żylną krew do kończyn ciała, a krew arteryjną pchają do serca.

— Czy to niebezpieczna ta choroba?

— Wszystko jest niebezpiecznem dla filozofa, moja droga Marjo — ale dla chrześcianina wszystko jest zasługą. Nawet śmierć, będąca postrachem filozofów, dla chrześcianina jest radością. Filozof pragnie wyrwać się jéj, chrześcianin myśli naprzód o tem żeby się do niéj przygotować.

— Czyby to już przyszła na mnie ostatnia godzina?

— Zawsze trzeba o niéj myśleć, to nie przyjdzie niespodziewanie.

— Powinnam się więc przygotować?

— Radziłbym ci przyjąć wiatyk — to nic nie szkodzi a bezpieczniéj!

— Mój Boże! mój Boże!

— Odwagi Marjo! Zrób to dla mnie, bo jestem bardzo niespokojny!...

Daję ci słowo honoru że mię to uspokoi.

— Rzeczywiście, czuję się bardzo słabą.

— A widzisz!

— Może już nie będzie czasu?

— Owszem, ale trzeba się pospieszyć.

— Wiatyku! Wiatyku! mój drogi panie!

— Natychmiast moja droga Marjo!

Mały chłopak stróża wysłany był do parafji. W dziesięć minut potem słychać było dzwonek. Don Filip odetchnął. Stara gospodyni wyspowiadała się przykładnie i przyjęła sakramenta. Pan jéj nie odstępował ani na chwilę. Po ukończeniu ceremonji Don Filip wziął w rękę laskę szwajcara kościelnego, ubrał się w jego mundur i poszedł odprowadzić księdza.

We drzwiach spotkał wysłańców, którzy już mieli pozwolenie aresztować go w domu.

Ujrzawszy księdza ze św. Komunją upadli na kolana, ale widzieli jak przed księdzem postępował z powagą ich dłużnik z laską kościelną i śpiewał z całego gardła: Te Deum laudamus.

Przybywszy do kościoła gdzie już był zupełnie wolnym, napisał do Marji że choroba jéj i niebezpieczeństwo było udane, i żeby zaraz przybyła do niego. W godzinę potem dobrana ta para była znowu razem. Wierzyciel znalazł w mieszkaniu Don Filipa cztery krzesełka, szafkę i cztery porcelanowe koszyczki potłuczone. Wszystko było sprzedane na licytacji za dwa ruble.

Don Filip nie potrzebował już mebli, bo jego przyjaciel ów artysta, tak dobrze udający anglików, dziwnym przypadkiem został milionerem. Pewien Anglik niezmiernie bogaty, dostał mocnego splinu i w tym stanie przybył do Neapolu, jak to zwykle robią Anglicy. Widział Poliszynela i nie roześmiał się; widział kazanie włoskie i nie roześmiał się; widział lazaronów bijących się o rzucony im grosz i nie roześmiał się. Jego doktór uważał go za zgubionego człowieka.

Pewnego dnia przyszedł mu kaprys pójść do teatrzyku Fiorentini. Grano wtedy tłomaczenie: *Angielki na stałym lądzie* przez jaśnie wielmożnego pana Scribe. We Włoszech wszystkie sztuki uważane są za dzieło Scribego. Widziałem jak grano: *Marino Faliero* Scribe'go; *Lukrecję Borgia* Scribe'go; *Antony* Scribe'go.

Owoż nasz chory wybrał się zobaczyć *Angielki na stałym lądzie*. Ujrzawszy Lelisa, który grał jedną z tych dam. (Lelis był owym przyjacielem Don Filipa.) Anglik zaczął się śmiać jak szalony. Nazajutrz poszedł znowu do Fiorentini, gdzie grano: *Dwaj Anglicy* Scribe'go, i śmiał się jeszcze więcéj niż wczoraj. Dodajemy że splinnik, nie zaniedbał korzystać z tak zbawiennego lekarstwa i na trzeci dzień znowu był w teatrze Fiorentini, gdzie grano *Burczymuchę* Scribe'go i znowu aż spłakał się ze śmiechu.

Za tem poszło, że Anglik, który już nic nie jadł, nic nie pił i nie sypiał, naraz odzyskał apetyt, pragnienie i sen. Anglicy są niewstrzemięźliwi. Splinnik odzyskawszy zdrowie jadł i pił tak dużo, a zawsze w towarzystwie Lelisa że w pół roku potem, już leżał w trumnie. Ale Anglicy są bardzo sumienni. Zdrowy Anglik zapisał Lelisowi 2000 fun. ste. rocznego dochodu za swoje uzdrowienie. Nie jego wina była że Anglik nie umiał trzymać się miary.

Tym tedy sposobem Lelis został milionerem. Porzucił teatr, przezwał się Don Lelio i najął sobie eleganckie mieszkanie na ulicy Toledo, a wierny w przyjaźni przygarnął do siebie Don Filipa.

Upłynęło więcéj niż rok od tego czasu a Don Filipie nie było ani słuchu w Neapolu. Jedni mówili że jest we Francji, gdzie został przedsiębiercą żelaznych kolei, drudzy, że jest w Anglii, gdzie wynalazł nowy gaz do oświetlania.

Nagle dnia 15 Listopada 1835 roku, Kongregacja Pielgrzymów odebrała następujące zawiadomienie.

„Don Filip Villani umarł ze splinu a zatem szanowne stowarzyszenie pielgrzymów jest proszone, aby wydało stosowne rozporządzenia do jego pogrzebu.“

Żeby moi czytelnicy zrozumieli znaczenie téj odezwy, musimy wprzód kilka słów napomknąć o pogrzebach w Neapolu.

Podług przyjętego tu zwyczaju umarli chowają się dotąd w kościołach. Jest to bardzo niezdrowo, ale nie ma na to rady, bo nigdzie stare zwyczaje nie przechowują się tak silnie jak we Włoszech.

Szlachta ma kaplice dziedziczne przyozdobione marmurem, złotem i obrazami najsławniejszych mistrzów.

Lud chowa się we wspólnym dole będącym zwykle pod środkową nawą. Biednych wywożą jednym koniem na cmentarz Campo Santo. Jest to największe nieszczęście, najwyższe poniżenie. Dla tego też za życia, każdy robi nadludzkie wysilenia żeby po śmierci uniknąć jednego konia i cmentarza Campo-Santo. Ztąd to powstały stowarzyszenia pogrzebowe, ztąd ubezpieczenia nie na życie, ale na śmierć.

Żeby być przypuszczonym do jednego z pięćdziesięciu klubów śmierci w wesołem mieście Neapolu, trzeba przejść przez następujące formalności. Jeden z członków towarzystwa przedstawia nowego kandydata, który przyjęty lub odrzucony bywa przez tajemne głosowanie. Od téj chwili na każde nabożeństwo chodzi do kościoła swojego bractwa, które za pewną miesięczną opłatą powinno go słuchać spowiedzi, kommunikować, dać ślub, dać mu ostatnie namaszczenie, a w końcu pochować go darmo i wspaniale. Nowy członek nie może być starszy nad 30 lat.

Jeżeli kto nie należy do takiego bractwa to musi drogo płacić za wszystkie ceremonje praktykowane za życia, a po śmierci krewni muszą wydać znaczne summy, żeby wyprawić zmarłemu wspaniały pogrzeb, co w Neapolu uważają za największy zaszczyt i wszystko poświęcają na to, żeby nie pojechać prostym wozem na Campo-Santo. Jeżeli zmarły należał do którego bractwa, wtedy zupełnie co innego. Krewni nie potrzebują się niczem zajmować tylko mniéj więcéj żałośnie opłakiwać zmarłego. Okazałość i koszta pogrzebu należą do bractwa Nieboszczyka z przepychem wprowadzają do kościoła, składają go w dole osobnym na którym wypisują jego nazwisko, dzień urodzin i śmierci a w końcu kilka pochwalnych wyrazów podług życzenia rodziny.

Przez cały rok potem odprawia się msza za duszę zmarłego. Ale to nie wszystko jeszcze. Co rok 2 Listopada, w Dzień Zaduszny, wszystkie katakomby bractwa bywają otwierane, ściany pokryte czarnem suknem, pełno wszędzie kwiatów i kadzideł a wszystko oświetlone pysznie jak teatr św. Karola, kiedy jest dworskie święto. Wtedy podnoszą szkielety braci zmarłych w upłynionym roku, ubierają je w paradne suknie i sadzają w niszach przygotowanych na to w ścianach całéj sali. Następują wizyty krewnych i przyjaciół po ukończeniu których, nieboszczyki grzebani bywają ostatecznie w przyległym ogrodzie pomarańczowym, który się wszędzie jednakowo nazywa: *Terra Sancta*.

Wszystkie korporacje pogrzebowe mają stałe dochody i przywileje bardzo rozległe. Rządzi niemi zwykle przeor, wybierany z pomiędzy braci. Są bractwa dla wszystkich klass i dla wszystkich stanów: dla szlachty, dla urzędników, dla kupców i dla wyrobników.

Jedno tylko Towarzystwo Pielgrzymów, bardzo starożytne, zachowało dawną prostotę i równość chrześcijańską. Przyjmuje zarówno szlachtę jak i plebejuszów, bogaczów i biednych. Żadnych tu nie ma odróżnień. Wszyscy siedzą na jednakowych ławkach, wszyscy są jednakowo ubrani, wszyscy słuchają jednakowych praw. Duch ten republikański tak dobrze się przyjął, że jednego roku wybierają szlachcica, drugiego plebejusza. Odkąd bractwo to istnieje nie było ani jednego nieporozumienia, ani jednéj zamieszki.

Do tego to bractwa należał Don Filip Villani, i tak dobrze pojmował wartość téj instytucji, że chociażby był w najsmutniejszem położeniu, chociażby był goluteńki jak święty turecki, płacił zawsze regularnie składkę, przypadającą na niego.

Owoż z żalem ale bez zadziwienia dowiedziało się bractwo o śmierci tak gorliwego brata, i wydało zaraz stosowne rozporządzenia do pogrzebu.

Wybór na przeora padł tego roku na głośnego kupca materji jedwabnych, bardzo bogatego i bardzo pobożnego. Jemu to polecono zająć się pogrzebem Don Filipa. Posłał więc zaraz swoich robotników pod N. 15 na ulicy Toledo gdzie miesz-

kał zmarły. Obito czarnem suknem jeden pokój, zrobiono z niego kaplicę, zwołano całe bractwo i kapelan przybył z krzyżem. W 24 godzin po skonie podług policyjnego przepisu, cały orszak udał się do mieszkania nieboszczyka. Najstarszy neapolitański hrabia niósł chorągiew żałobną. Za nim postępowało bractwo parami, przed kapelanem postępował przeor z laską hebanową, a za kapelanem ośmiu tęgich drabów niosło trumnę okazałą, pokrytą całunem z czerwonéj materji. Za trumną szło szanowne zgromadzenie uprzywilejowane, biedaków św. Januarego.

Przepraszamy za to nowe zboczenie, ale jesteśmy w kraju zupełnie obcym naszym czytelnikom, musimy więc wytłomaczyć im wprzód co to są żebracy św. Januarego.

W Neapolu, starzy służący, kiedy już nie mogą pracować, przechodzą ze służby od panów na służbę do św. Januarego, z pewnością najlepszego na całym świecie pana. Są to inwalidzi — służący. Jak tylko który z nich dojdzie do pewnych lat lub do pewnego stopnia niedołęztwa, wymaganego przez ustawę żeby zostać biednym św. Januarego, jak tylko dostanie dyplom podskarbiego św. Patrona, o nic się już nie frasuje, tylko prosi Boga żeby mu zesłał jak nawięcéj pogrzebów.

Nie ma bowiem żadnego okazalszego pogrzebu bez starców i kalek św. Januarego. Każdy nieboszczyk który choć cokolwiek szanuje siebie, musi mieć za sobą biedaków św. Januarego. Posyłają ich do mieszkania zmarłego, tu dostają po piętnaście groszy na osobę i towarzyszą ciału, aż na miejsce wiecznego spoczynku. Dopóki idą za ciałem głęboki szacunek otacza biedaków św. Januarego, ale jak tylko usunie się od nich święta opieka trumny, stają się prostymi śmiertelnymi żałobnikami śmierci. Wszyscy kraczą na nich, rzucają błotem, skórkami cytrynowemi lub głąbiami kapusty i z temi obelgami odprowadzają ich do mieszkania. Unikają czasami téj zniewagi, jeżeli przypadkiem między nimi a publiką, pokaże się pies z rądlem na głowie. Wiadomo powszechnie, że we wszystkich krajach na świecie pies mający rondel lub garczek na głowie jest nadzwyczajnym wypadkiem.

Owoż chorąży, bractwo, trumna, żałobniki, przeor, kapelan i biedacy św. Januarego zebrali się przed N. 15 na ulicy Toledo. Czterech żałobników udało się na górę, włożyło nieboszczyka do trumny i wróciło z nią na ulicę. Przeor uderzył hebanową laską, cały orszak ruszył z miejsca i udał się do kościoła Pielgrzymców.

Nazajutrz po pogrzebie, przeor podług swego zwyczaju przepędziwszy cały dzień w sklepie, wyszedł późno wieczorem ku morzu, odmawiając po cichu pacierze za duszę Don Filipa Villani, lecz nagle na zakręcie ulicy św. Jakóba ujrzał zbliżającego się człowieka, tak podobnego do niego, że stanął osłupiały. Człowiek ów zbliżał się coraz więcéj i coraz więcéj stawał się podobnym do Don Filipa. Kiedy już był tylko o kilka kroków od przeora, nie było już wątpliwości — był to cień Don Filipa.

Cień, nie zważając wcale na wrażenie jakie sprawił, szedł prosto do przeora. Biedny kupiec materji jedwabnych drżał ze strachu, gęsty pot spływał mu z czoła, kolana uginały się, a zęby ścisnęły się jak w konwulsjach. Chciał wołać o pomoc, ale głos zamarł mu w piersiach.

— Witam pana kochany przeorze! odezwało się widmo z uśmiechem.

— W Imię Ojca i Syna i Ducha Św. szeptał przeor.

— Amen! dodało widmo.

— *Vade retro satanas*! wrzasnął przeor.

— Co ci jest, kochany przeorze? zapytało się widmo oglądając się dokoła, żeby zobaczyć co to takiego napędziło zacnemu kupcowi takiego strachu.

— Odejdź duszo pokutująca!—mruczał — a dam na msze za twoje wybawienie.

— Ależ ja nie potrzebuję pańskich mszy! zawołało widmo. Gdybyś pieniądze, przeznaczone na ten dobry uczynek, raczył oddać mi w moje ręce, tobym ci był bardzo wdzięczny.

— Nie ma już wątpliwości że to on! — odezwał się przeor, kiedy wrócił z tamtego świata żeby zaciągnąć pożyczkę.

— Kto on?

— A juści Don Filip Villani!

— A któżby to był inny?

— Przepraszam cię mój kochany bracie — odpowiedział przeor drżący jeszcze; czy można się od ciebie dowiedzieć, gdzie mieszkałeś i gdzie teraz mieszkasz?

— Mieszkałem i mieszkam na ulicy Toledo N. 15. Ale do czego zmierza to pytanie?

— Bo przed trzema dniami, doniesiono nam żeś umarł. Udaliśmy się do twego mieszkania, włożyli cię w trumnę, zanieśli do kościoła i pochowali.

— Bardzo dziękuję za tę grzeczność!

— Ale jakże się to stało, że umarły przed dwoma dniami, pochowany wczoraj, chodzisz znowu po ziemi?

— Bo zmartwychwstałem!

I uderzywszy przeora ręką po ramieniu poszedł daléj swoją drogą.

Przeor przez dziesięć minut stał na jednem miejscu, patrząc za odchodzącym. Pierwsza myśl przeora była: że Bóg uczynił cud przez wzgląd na Don Filipa, ale zastanowiwszy się lepiéj uznał to przecie za niepodobieństwo, i raniutko nazajutrz zwołał kapitułę bractwa i opowiedział jéj, że wczoraj wieczór spotkał się z Don Filipem, że mówił z nim i że tenże oświadczył mu, że ożył i że jest przy najlepszem zdrowiu.

Na dziesięć osób, składających kapitułę, dziewięć chciało uwierzyć w cud, jedna z nich tylko opierała się temu.

— Jak to? czy szanowny brat wątpiłby o prawdzie słów moich?

— Wcale nie! Ale nie wierzę w widma, a ponieważ może to znowu jaki figiel Don Filipa, to mojem zdaniem najlepiéjby było, zanim się czego więcéj nie dowiemy, pozwać go o szkody i wydatki, bo się kazał pochować a nie umarł.

Nazajutrz u stróża domu N. 15 na ulicy Toledo, złożono następujący pozew: „Roku 1835 18 Listopada, na żądanie szanownego bractwa Pielgrzymów ja, niżéj podpisany, woźny przy Trybunale Cywilnym w Neapolu, zapozwałem zgasłego Don Filipa Villani dnia 15 Listopada tegoż roku, aby w ośmiu dniach od daty dzisiejszéj, stawił się przed wyżéj wspomnionym Trybunałem i dowiódł prawnie swojéj śmierci; w przeciwnym razie skazanym zostanie na zapłacenie wyżéj wspomnionemu bractwu Pielgrzymów 100 dukatów wynagrodzenia, za koszta pogrzebu i obecnego procesu.“

Był to właśnie dzień wyznaczony na tę sprawę, kiedyśmy się znaleźli na ulicy Forcella, wpośród wielkiego tłumu. Kiedy otworzono Trybunał wszyscy rzucili się do sali audjencjonalnéj i pociągnęli nas za sobą. Wszyscy spodziewali się, że pozwany nieboszczyk nie stanie i będzie sądzony zaocznie, ale się wszyscy omylili, bo nieboszczyk stawił się. Większa połowa obecnych uczuła w duszy coś nieprzyjemnego, bo nie wiedziała na pewno, czy Don Filip żywy człowiek czy chodzący trup. Don Filip postąpił tymczasem poważnym krokiem, jak przystoi na widmo, stanął przed kratką, ukłonił się sędziom i rzekł:

— Prześwietny Sądzie! nie ja umarłem ale mój przyjaciel u którego mieszkałem. Wdowa uprosiła mię żeby się zająć pogrzebem, a ponieważ właśnie wtedy potrzebowałem daleko gwałtowniéj pieniędzy niż życia, kazałem się pochować na jego miejscu. Zresztą pretensja szanownego bractwa jest niesłuszną. Miałem prawo do jednego pogrzebu i pochowano mię. Nazwisko moje było zapisane na liście bractwa, teraz jest już wymazane i jesteśmy kwita. Nie mając nic już więcéj do sprzedania sprzedałem mój pogrzeb“.

Rzeczywiście, biedny Lelis, który tak długo rozweselał cały Neapol umarł na splin i jego to szanowne bractwo, pochowało na miejscu Don Filipa. Zmartwychwstały został uniewinniony, uwolniony od zapłacenia przy hucznych oklaskach publiczności, która go w tryumfie zaniosła na ulicę Toledo do domu N. 15.

Kiedym opuszczał Neapol rozeszła się była wieść że Don Filip Villani skończył swoją karjerę — ożenił się z wdową swego przyjaciela, a raczéj z 2,000 f. s. rocznego dochodu.

VII.

Lazzarony.

Powiedzieliśmy wyżéj, że w Neapolu jest trzy ulice tylko po których można jeździć, reszta pięćset kwalifikuje się tylko dla pieszych. Opisaliśmy po krótce Chiaja, Toledo i Forcellę, z innemi ulicami prędko się załatwimy.

Neapol jak wiadomo, wybudowany jest w kształcie amfiteatru, to też wyjąwszy nadbrzeży morskich Marinella, Santa Lucia i Margellina, reszta ulic są bardzo nierówne, a że nikt tam nie chodzi, tylko ci co tam mieszkają, to też cudzoziemiec lub miejscowy mieszkaniec ubrany w suknie sukienne, gdyby się tam pokazał, byłby przedmiotem wielkiego zadziwienia i ciekawości. Dodaję zarazem, że w Neapolu człowiek ubrany w *panno* (sukno) uchodzi zaraz za wielkiego arystokratę. Pomówimy o tem późniéj.

Owóż żaden Cook ani Bouguinville [1]) nie zawinie w tamte strony gdzie nic nie ma do widzenia, tylko brudne domy, przed któremi babka czesze swoją córkę, córka swoje dziecko, a dziecko swojego psa. Nie ma na całéj ziemi żadnego innego kraju, któryby się tak lubił czesać, jak Neapol. Przeszliśmy już z piędziesiąt takich ulic. Jedna tylko miała jakąś wybitną właściwość, była to ulica Morta Capuana, szeroka, zakurzona, kamienista, a ścieki naturalne służyły jéj za kanały. Z jednéj strony ciągną się domy mniéj więcéj niskie, mniéj więcéj odrapane; z drugiéj zaś strony idzie ładna alea wysadzana wysokimi, staremi drzewami. Napozór jednak niema tu nic nadzwyczajnego. Ale wpatrzywszy się lepiéj w okna domów i w labirynt ciemnych, wązkich uliczek wychodzących na Marta Capuana, ujrzymy z zadziwieniem, że przedmieście to zamieszkałe jest przez same kobiety stare i młode, brzydkie i ładne, które wiecznie śpiewają i wiecznie tańczą szaloną tarantellę.

[1]) Dwaj sławni żeglarze.

Reszta ludności w tych ludnościach jest niepodobną do opisania, bo robi niewiadomo co i żyje niewiadomo z czego, która uważa się za coś wyższego od lazzaronów, a jest od nich rzeczywiście bez porównania niższą. Zbliżmy się tedy do lazzaronów.

Niestety, lazzarony nikną już, kto chce widzieć jeszcze lazzarona niech się spieszy. Neapol oświetlony gazem, Neapol ze swojemi lazzaronami, przestrasza swobodne dziecko wybrzeża. Lazaron, jak czerwony Indjanin cofa się przed cywilizacją. Wojska francuzkie, które zajęły Neapol za wojen rewolucji, zadały pierwszy cios lazzaronom. Przed ową epoką lazzaron używał wszystkich prerogatyw swojego ziemskiego raju. Jak pierwszy człowiek przed grzechem, nie potrzebował wcale krawca, i pił słońce wszystkiemi porami ciała.

Ciekawy i ruchliwy jak dziecko, lazzaron wnet został przyjacielem żołnierza francuzkiego, ale żołnierz francuzki jest przedewszystkiem przyzwoitym i wstydliwym. Zaprzyjaźnił się z lazzaronem, pił z nim w szynkowni, chodził z nim pod rękę, ale pod warunkiem, sine qua non, żeby się choć troszkę ubrał. Lazzaron wierny swoim ojcom i dziesięciowiekowéj nagości, bronił się długo od tego odstępstwa, ale uległ wymaganiom przyjaciela.

Był to pierwszy krok do zguby. Za koszulą przyjdzie kamizelka, za kamizelką surdut, a kiedy włoży surdut nie będzie już lazzaronów — zrobi się z nich rassa umarła, legenda, lub badanie naukowe, jak nad mastodontem lub i ektyozaurem, jak cyklopami lub trogladytami.

Nim to nastąpi, ponieważ miałem to szczęście żem widział ostatki téj wielkiéj rassy, która już nikniè, żeby pomódz w przyszłości badaczom antropologicznym, postaram się opisać jak najlepiéj lazzaronów.

Lazzaron jest starszym synem natury. Dla niego to słońce świeci, dla niego szemrze morze, do niego uśmiecha się świat. Inni ludzie mają domy, mają wille, mają pałace, lazzaron ma świat.

Lazzaron nie zna pana, nie zna prawa jest po za wszystkiemi społecznemi wymaganiami. Spi kiedy mu się spać chce, je kiedy głodny, pije kiedy spragniony. Inni ludzie odpoczywają kiedy są znurzeni pracą, on pracuje kiedy jest znużony odpoczynkiem. Pracuje nie ową pracą na północy, która trzyma wiecznie człowieka we wnętrznościach ziemi, żeby z niéj wydobyć rudę lub węgiel, która go przywiązuje do pługa, żeby nim uprawiać ziemię ciągle buntowniczą i do dzikości skłonną, która go zapędza na pochyłe dachy i na wysokie mury zkąd często spada i kark kręci, ale pracuje sobie wesoło swobodnie ze śpiewką rodzinną i z uśmiechem na ustach, który pokazuje jego białe zęby, pracuje przeciągając się ciągle przez godzinę, przez pół godziny, przez dziesięć minut, przez chwilkę, jeżeli ta daje mu tyle ile mu na cały dzień potrzeba.

Jaka to praca? Bóg tylko sam wie!

Paka zniesiona ze statku parowego do hotelu — Anglik odprowadzony z przystani na ulicę Chiaja — parę ryb, pozostałych we włóku, złapanych i sprzedanych, ręka wyciągnięta prawie zawsze w którą kiedy niekiedy wpadnie jaki grosz od cudzoziemskich podróżników, oto praca lazzarona.

Daleko łatwiéj powiedzieć czem się żywi. Chociaż lazzaron należy do rodzaju omniworów (wszystkojadów) zwykle jednak jada dwie tylko potrawy pizzę i cocomero. (¹)

¹) Zapewne ztąd polski wyraz: pyza. Kokomero — arbuz.

Gadają zwykle ci co nie widzieli lazzaronów, że jedzą najczęściéj makaroni, jest to wierutne kłamstwo. Makaroni urodził się wprawdzie w Neapolu, ale dzisiaj obszedł już całą Europę i daleko znajduje się od swojéj kolebki. Oprócz tego makaroni kosztuje sześć su—15 gr. funt, a zatem za drogi jest na kieszeń lazzarona wyjąwszy w wielkie święta. Pokarmem jego na powszedni dzień jest pizza i cocomero, pizza w zimę, cocomero w lecie.

Pizza jest to rodzaj ciasta, które się przygotowywa prawie tak samo jak ciasto na chleb. Zawsze jest okrągłą, ale za to grubszą lub cieńszą podług ceny. Pizza za jeden su wystarcza dla jednego człowieka, pizza za dwa su wyżywi całą rodzinę.

Na pierwszy rzut oka pizza wydaje się bardzo prostem pożywieniem, a jednak jest to potrawa bardzo skomplikowana. Jest pizza z oliwą, ze słoniną, z serem, z pomidorami, a nawet z małemi rybami. Jest ona targowym termometrem, zniża lub podwyższa się w cenie podług ceny pierwiastków wchodzących do niéj, podług urodzaju lub nieurodzaju w polu. Kiedy pizza z rybą kosztuje pół grosza, to znaczy że połów był obfity, kiedy pizza z oliwą kosztuje grosz, to znaczy że zbiór oliwy był zły.

Jedna jeszcze okoliczność wpływa na cenę pizzy to jest jéj świeżość: każdy się domyśli że nie można sprzedawać wczorajszéj pizzy za taką cenę jak dzisiejszą. Biedaki jadają pizzę co ma już kilka dni, doskonale wtedy mogłaby zastąpić suchary morskie.

Jak już powiedzieliśmy pizzę jada lazzaron tylko w zimę. Dnia 1 Maja pizza ustępuje miejsca cocomerowi. Towar niknie ale kupiec i sklep zostają, kupiec ten, to starożytny Janus, który jedną twarzą płacze za przeszłością, a drugą uśmiecha się do przyszłości. W owym dniu *pizzajolo* przemienia się w *mellonaro*, w sklepie zaś zmywają wszystkie pozostałości zimowe, a wystawiają artykuły letnie.

Najpiękniejsze cocomeri pochodzą z Castellamare, widok ich rozwesela i zaostrza apetyt. Pod aksamitną zieloną powłoką widzicie czerwone ciało, a w niem czarne ziarnka od których owa czerwoność jeszcze ładniéj odbija. Ale dobry cocomero jest drogi. jeżeli jest tak wielki jak kula 84 funtowa, to kosztuje czasami od 6—10 susów. Ale za to taki duży cocomero, w rękach biegłego krajczego daje się podzielić na 1000 kawałków. Każdy nowy cocomero, kiedy go mają otwierać jest nowem widowiskiem. Kandydaci stoją obok siebie i czekają na krajanie. Mellonaro bierze z wielkiego kosza, w którym arbuzy ułożone są pyramidalnie jak kule w arsenałach, bierze jedną sztukę wącha, ją podnosi do góry, jak cesarz rzymski glob ziemski i woła: To ogień! on daje do zrozumienia, że ciało cocomera będzie mocno czerwone!

Otwiera go za jednem cięciem i pokazuje obie połowy każdą w innéj ręce. Jeżeli wnętrze cocomera zamiast być czerwonem, pokaże się żółtem lub zielonkowatem, co oznacza gorszy gatunek, to cocomero robi kompletne fiasko, i mellonaro zostaje ośmiany, zakrzyczany, obrzucony łupinami. Niech mu się tak zrobi trzy razy a już zgubiony na wieki wieków!

Jeżeli czasami po zapachu i wadze pozna, że cocomero zepsuty, wtedy dopiero zuchwale nadrabia miną; pod niebiosa wynosi jego dobroć, jego ciało soczyste i krew chłodzącą. Chcielibyście sprobować go, mówi, ale możecie tylko obejrzeć go i powąchać... nie dla psa kiełbasa — nie dla takich on jak my. Król zamówił go u mnie dla królowéj.

I odkłada go na bok a gawiedź oblizuje się tylko, zazdroszcząc szczęścia królowéj i uwielbiając uprzejmość króla.

Jeżeli zaś cocomero ma wszystkie wymagalne przymioty, tłum się ciśnie i zaczyna się krajanie i sprzedawanie łaknącym.

Jeden kawałek kupuje zwykle jeden człowiek, ale go je trzech: naprzód prawdziwy posiadacz, który płaci podług wielkości — ten zjada samo wnętrze najdelikatniejsze; potem przyjaciel, który wysysa co może, wreszcie ulicznik, który obgryzuje skórkę... za nim już nie ma nikogo, chyba koń widmo.

Za pomocą cocomera je się, pije i myje jak utrzymuje kupiec — a zatem cocomero ma w sobie to co jest koniecznem i to co jest zbytkowem. Dla tego mellonaro wyrządza wielką szkodę aquajolim handlarzom czekolady, gdyż ten zamiast sprzedawać obrzydliwy wywar z kakao, sprzedaje wyborną wodę zamrożoną, kwaskowatą od plasterka cytryny.

Niktby temu nie uwierzył że aquaiole najlepsze interesa robią w zimie, kokomero psuje wtedy żołądek, a pizza sprowadza niestrawność. Owoż w lecie sama tylko arystokracja podtrzymuje aquajolów. Książęta, hrabiowie, baroni, nie wstydzą się zajeżdżać przed sklep aquajola i pić wodę, któréj szklanka kosztuje grosz. Nie ma nic ponętniejszego w tym gorącym klimacie nad sklep aquajola, przybrany w drzewa i kwiaty i mający dwie beczki duże i czyste tego orzeźwiającego napoju. Ja przynajmniéj używałem do syta téj przyjemności. Sklepy z taką wodą z lodu, stoją co kilkadziesiąt kroków od siebie. Wyciągniesz tylko rękę a szklanka sama do ust przychodzi.

Co do lazzaronów, ci żartują sobie z wody, z lodu i zajadają różowy cocomero.

Ale to nie dosyć jeszcze że lazzaron je, pije i śpi, potrzeba jeszcze żeby lazzaron bawił się. Znam jedną dowcipną kobietę, która utrzymuje, że dla człowieka *comme il faut* zbytek jest potrzebą konieczną. Owoż lazzaron ma usposobienie człowieka *comme il faut* — lubi bardzo zabawy, a zabaw tych nigdy mu nie brakuje. Wyliczmy te rozrywki lazzarona.

Ma naprzód improwizatora w przystani morskiéj. Na nieszczęście, uważaliśmy że w Neapolu wiele dawnych rzeczy ginie już i improwizator także. Dla czego improwizator znika? Jaka jest przyczyna jego upadku? Takie pytanie zadają sobie wszyscy a nikt nie może na nie odpowiedzieć.

Jedni utrzymują, że to kaznodzieje odciągnęli mu słuchaczy. Ależ przypuśćmy że kaznodzieja i improwizator przemawiać będą razem w jednem miejscu. Kaznodzieja będzie mówił jak na puszczy, a improwizator będzie miał massy słuchaczów. A zatem kaznodzieja nic w tem nie winien.

Drudzy powiadają, że Ariost zestarzał się, że szaleństwa Orlanda za bardzo już są znane, że miłostki Medora i Angeliki nie są już zajmujące, że wreszcie od czasu, kiedy wynaleziono statki parowe i zapałki chemiczne, czarodziejstwa Merlina bardzo zblakły. Ale i to nie prawda, bo się nieraz trafia, że kiedy improwizator przerwie na jakiem zajmującem miejscu, to nie jeden lazzaron przychodzi do niego w nocy i budzi go, żeby usłyszeć dalszy ciąg.

(d. c. n.)

Dalszy ciąg opisu N. 39,

N. 26 — 27. Uczesanie głowy z warkoczami. Piękny ten rodzaj upięcia potrzebuje koniecznie długich i grubych warkoczy, na grubość łatwo fryzjer może poradzić, ale długość trudno sztucznie zastąpić. Dwa dość grube promienie oddziela się naprzód i układa stosownie do gustu przy twarzy. Resztę włosów dzieli się na dwie części i splata przy uchu mocno od głowy, ażeby można trwale przednie promienie przymocować; jeżeli włosy tego wymagają wplata się osobne promienie, układa warkocze nisko, jak to wzór wskazuje, przepina grzebieniem albo kokardą i przepasuje od przodu wstążką. Zwrócimy jeszcze uwagę czytelniczek, że obecnie przepasania i kokardy ze wstążek lub aksamitki, albo grzebienie przy warkoczach powszechnie są noszone.

N. 28. Kapturkowy szalik robiony na drutach. Materjał; włóczka dość gruba angielska i cienka tak zwana: Mooswolle w dwóch dobrze odróżniających się cieniach jednego koloru, dwa drewniane i dwa stalowe druty grubości używanéj do pończoch włóczkowych. Lekko pod brodą przewiązany kapturek układa się z szalika 100 c. długiego a w środku 30 c. szerokiego, który zaczyna się na ocz. 27 i robi ciągle gładko tam i napowrót, najpierw włóczką angielską 40—45 razy, na drutach drewnianych, potem 8 razy włóczką „Mooswolle" na drutach stalowych. Te ostatnie obrobienia powinny 6 razy robotę luźną przedzielać i stanowić niejako przewiązanie. W drugim i trzecim oddziale roboty luźnéj potrzeba zaraz przy pierwszym obrobieniu przybrać oczek 10, ażeby mieć ich w oddziale 2gim 37 a w 3cim 47. Oddział 4-ty zatrzyma o. 47 w oddziale 5tym robić będziemy tylko 37, a w 6tym znów 27. Piękny wzór do kwastów zdobiących zmarszczone końce szalika, znajduje się w numerze 38 Tyg. Mód.

N. 29. Kapelusz okrągły ubrany piórami i koronką. Około niskiéj główki kapelusza, dana dwa razy koronka rulonem ze wstążki przedzielona. Z tyłu przypięty woalik, którego opis podaliśmy pod N. 2. Z boku kokarda ze wstążki, któréj układ i przypięcie piór białych, wskazuje rysunek.

N. 30. Kapelusz okrągły ubrany kwiatami, aksamitem i wstążką. Kapelusz z główką wysoką i wązkiem rondkiem, objętem skośnym aksamitem, ma główkę opasaną piękną wstążką rypsową, wzdłuż w fałdę zagiętą i 3 rulonikami z aksamitu. Z boku kokarda z końcami oszytemi rendzlą, z pośrodka któréj przypięta gałęź kwiatów.

N. 31. Suknia w paski ze stanikiem i baskiną. Przy sukni w paski, bardzo dobrze wydają się takież same skośnie krajane falbanki. Takimże sposobem jak stanik, garnirowana być powinna tiunika. Spódnica może być takaż sama, albo w szersze pasy lub w jednym kolorze gładka z falbanami pasowanemi, lub takiemi jak tiunika. Szmizetka muślinowa ze skośnych plis ułożona; rękawki fałdowane muślinowe, przybrane kolorową wstążką.

Opis N. 40.

N. 1. Ubranie ze zwierzchnią suknią. Długa zwierzchnia suknia, z materji kolorowej w deseń, ze stanikiem pod szyję, z przodu otwartym, ma spódnicę z przodu otwartą, z tyłu kilka razy w pufy podpinaną, ażeby widać było dobrze suknię dolną gładką, z jasnéj materji. Garnirunek tiuniki stanowi falbana marszczona z materyi gładkiéj, 12 cent. szeroka, z przodów ku górze zwężona. Takaż falbana przyszyta przy łokciu na rękawie nad szerokim wolantem, ma 8 c. szerokości, a przy wykroju stanika 4 centymetrów. Kokardy z materji gładkiéj podpinają spódnicę z przodu, przystrajają rękawy i puf. Rękawki i szmizetka są z koronki białéj, na głowie koronka czarna i kwiaty aksamitne; pojedyncze liście aksamitne w kolorze sukni przypinane są na końcach.

N. 2. Ubranie dla osób starszych. Suknia trochę powłóczysta z Alipiny jasno popielatéj, oszyta wolantem 30 c. szerokim, z nagłówkiem przeszytym plisą 3 cent. szeroką, z repsu jedwabnego trochę ciemniejszego. Pod szerokiemi rękawami, oszytemi wolantem 6 c. szerokim i pliską 1 i pół c., widać drugie rękawy obcisłe, pliską repsową zakończone. Mankietki i kołnierzyk z cienkiego płótna, przyozdobione wązkim haftem gipiurowym. Chustka czarna koronkowa. Czepeczek z białéj blondyny, ubrany białą rypsową wstążką.

N. 3. Ubranie dla małéj dziewczynki. Sukienka z alpagi naszyta sutaszem. Przy okrągłym wykroju stanika dodane ubranie szalowe, urządzone ze skośnego 6 c. szerokiego pasa alpagi, który wyszywa się tak, jak spódniczka sutaszem, przyczepia z tyłu i na ramionach do wykroju sukni, z przodu krzyżuje ua piersiach, a z tyłu, sposobem na rycinie wskazanym, przepina kokardą.

N. 4—5. Dwa szlaczki na haft atłaskowy, zakończone robotą koronkową. Połączenie haftu atłaskowego z koronką irlandzką, stanowi odznaczającą się całość. Ten rodzaj garnirunku zarówno do białego batystu, jak i do kolorowego lub szarego perkalu zalecić możemy.

N. 6 — 7. Pokrycie na stoliczek z materjału waflowego. Deseń wywodzony dwoma kolorami włóczki na materjale waflowym, który na ryc. 6 podajemy, może być także odrobiony ściegiem krzyżowym na kanwie „Jawa". Włóczkę dobiera się albo w dwóch dobrze odróżniających się cieniach jednego koloru, albo czarną i jaką jasną kolorową. Pod N. 6. podajemy wzór deseniu na serwetce we czworo złożonéj, pod N. 7 trudniejszą część szlaku w naturalnéj wielkości. Wzór oszyty jest frendzlą z nadgłówkiem gęsto tkanym.



N. 1. Ubranie ze zwierzchnią suknią. N. 2. Ubranie dla starszéj osoby. N. 3. Ubranie dla małéj dziewczynki.

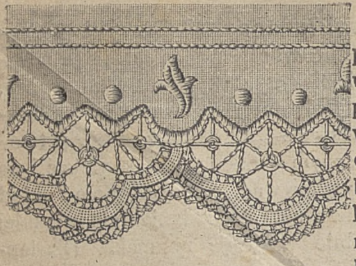
N. 8 i 9. Dwa wykładane kołnierzyki z frywolitek. Obadwa kołnierzyki bardzo są do siebie podobne, a robota listków koniczyny, tak powszechnie znana, iż niepotrzebuje opisu, dodamy tylko uwagę, iż dla ukrycia o ile możności, nitek łączących listki ze sobą, potrzeba je zawsze pod bocznym listkiem przeprowadzić i do pikotu środkowego przywiązywać. Przydawanie i układ listków w rogach kołnierzyka, dla nadania odpowiedniéj formy wykroju, dokładnie wskazuje rysunek. Dla lepszego jeszcze zaokrąglenia i dopasowania, można wykrój obrobić raz szydełkiem, jak to ma miejsce na rycinie 8.

N. 10. Medaljon. Haft na skórze. Czawarta część medaljonu w dodatku Fig. 39. Materjał: kolorowa skóra lub kawałek materji kolorowéj, kordonek w takimże kolorze i czarny; cieniutki i średniéj grubości sznureczek złoty. Medaljon ten użyty być może na tekę, cygarnicę itd. Litery odrabia się kordonkiem tegoż co materja lub skóra koloru, ściegiem płaskim z obwódką ze sznureczka cienkiego złotego, koronę zaś całą złotem, lubo można i cały haft odrobić złotem.

N. 11. Kokarda do kołnierzyka z Crêpe de chine i koronki. Ten układ kokardy, należy do najświeższych i najmodniejszych. Zarówno może być zrobiona z crêpe de chine czarnéj z koronką białą, jak i we wszelkich jasnych kolorach z koronką czarną lub białą. Pódobna kokarda tylko w znacznie powiększonych rozmiarach, służyć może w miejsce szarfy do sukni. Układ ten wymaga skośnych kawałków, wązko ściegiem krytym obrębionych; dolne kokardy mające 9 c. szerokości, a 10 do 14 długości, przyczepia się do kawałka tiulu sztywnego. Nad niemi przypięte końce, z brzegu podług prostéj nitki ścięte, téj saméj szerokości, ale nieco krótsze i wkoło koronką oszyte. Z kawałka 6 c. szerokiego, daje się węzęł środkowy i 3 zaokrąglone końce, z których dwa górne są oszyte koronką.

N. 11—13. Podstawka i przykrywka do lampy. Robota na drutach nawijana, siatka i robota fantazyjna. Materjał: Zielona włóczka angielska, filozela i ryps w tymże kolorze, sztywna tektura, gruby drut, używany do kapeluszy, biała i zielona krepa.

Na podstawkę do lampy podaną na wzorze 12, potrzeba najpierw krążek z tektury, mający 21 c. w przecięciu, pokryć na obiedwie strony zielonym rypsem, potem wkoło obszyć szlakiem, który zaczyna się na oczek 13 i robi na drutach gładko zawijając przy każdem oku dwa razy nitkę na palec. Gdy już mieć będziemy długość odpowiednią, wówczas pentelki, obrabia się i łączy szydełkiem. Obrobienie to daje się z zielonéj filozeli, szydełkiem do ściegu tunetańskiego używanym. W tym celu nabiera się cały rząd pentelek na szydełko, potem podług wzoru 13, każdą pojedynczą pentelkę przerabia się jednym oczkiem, łącząc przytem pojedyncze rzędy na brzegach z sobą, jako też obadwa brzegi w okrąg. Poczem szlaczek tylko z brzegu przyczepia się do podstawki, a od środka luźno zostawiony, zakłada się na postument lampy, a tak podstawka razem z nią może być przenoszona. Brzeżek siatkowy odrabia się na drewnianym wałeczku, albo osobno i przyszywa do rypsu, albo też przyrabia od razu do brzeżnych oczek szlaczku. Dwa pierwsze obrobienia są zupełnie gładkie, w trzeciem robi się tylko w każde drugie oko poprzedzającego rzędu, na przemian, raz oczek pięć, raz jedno. Czwarte i ostatnie obrobienie znów w każde oko gładko. Motylek stanowiący nowe i eleganckie przykrycie szkła od lampy nader łatwy jest do odrobienia. Korpus mający 11 do 12 c. długości a 6—7 objętości, robi się z waty pokrytej podwójną krepą białą, przewiązania dane są z jedwabiu pąsowego. Wąsy z cienkiego drucika pąsowym jedwabiem okręconego, a oczy z perełek czarnych. Na skrzydełka owinie się jebwabiem 4 kawałki grubego drutu, mające 30 i 36 cent. długości, potem nada im się formę



N. 4. Szlaczek. Robota koronkowa i haft atłaskowy.

podług załączonego wzoru, i pokryje dwa większe skrzydełka krepą białą, górne cokolwiek przymarszczone brzegi schowa się pod korpus, dolne do drutu podwinięte, przydzierga się w małych odstępach jedwabiem koloru złotego. Takimże jedwabiem wziętym podwójnie dać ściegiem długim wyszycie, na rysunku oznaczone. Zwierzchnie zielone skrzydełka w tenże sam sposób ozdobione są jedwabiem pąsowym. Pod korpusem trzeba dodać drut biało owinięty, w końcach zagięty w ten sposób, iżby służył do przytrzymania motylka na kinkiecie.

N. 14. Haft na cygarnicę, pugilares itd. Na skórze albo materji, haftuje się gałązki kwiatów, albo tym samym, co tło kolorem do cieniu lub też także do cieniu kolorami lila, niebieskiemi i różowemi, z liśćmi orzechowemi i zielonemi. Arabeska powinna być czarna ze złotym sznureczkiem po brzegach, pojedyncze ściegi, stanowiące rodzaj frendzli i środkowe supełki robią się nitką złotą.

N. 15. Ramy do obrazu przyozdobione liśćmi ze skóry. Rysunek gałązki na arkuszu z krojami Fig. 41. Materjał: Cienka skóra, drucik jak do kwiatów, ramka z cienkiéj deseczki 2 cent. szeroka, pendzelek, rozpuszczona gumma, pokost kopalowy, trochę waty.

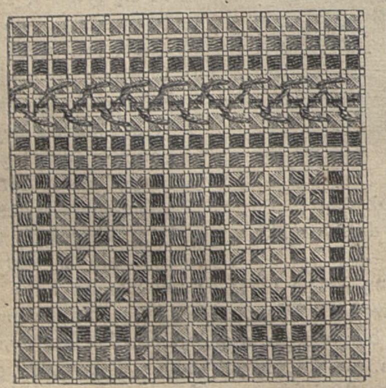
Skórzane przyozdobienie ramy, naśladuje pień drzewa owinięty bluszczem, za podstawę służą ramki zbite z cieniutkich deseczek i owinięte watą; na wzorze mają 18 c. wysokości a 16 szerokośći, z wierzchu pokrywa się ramki skórą, która powinna być dana trochę wypukło, na podesłaniu z waty, zaś brzegi skóry podwija się podspód. Wypukłość gałązek otrzymuje się przez silniejsze naciśnięcie szczypczyków na wilgotną skórę. Cztery gałązki wykrojone, każda z jednéj całości, (podług fig. 41 na arkuszu z krojami) przyczepiają się na czterech rogach jeszcze wilgotne, ażeby ogonki dobrze giąć się dały, osiem gałązek mniejszych, z dużym liściem, służą jako dopełnienie poprzedzających. Od środka listków w miejscach kreseczkami na fig. 41 oznaczonych, podaje się pod listki i gałązkę drucik, ażeby przy układaniu na ramię, można je było więcéj lub mniéj podnieść. Gdy już gałązki są zręcznie ułożone i przymocowane do ramy, można w narożnikach listki gumą mocno przykleić. Lakierem dobranym w kolorze jaśniejszym lub ciemniejszym drzewnym, potrzeba parę razy pociągać ramki.



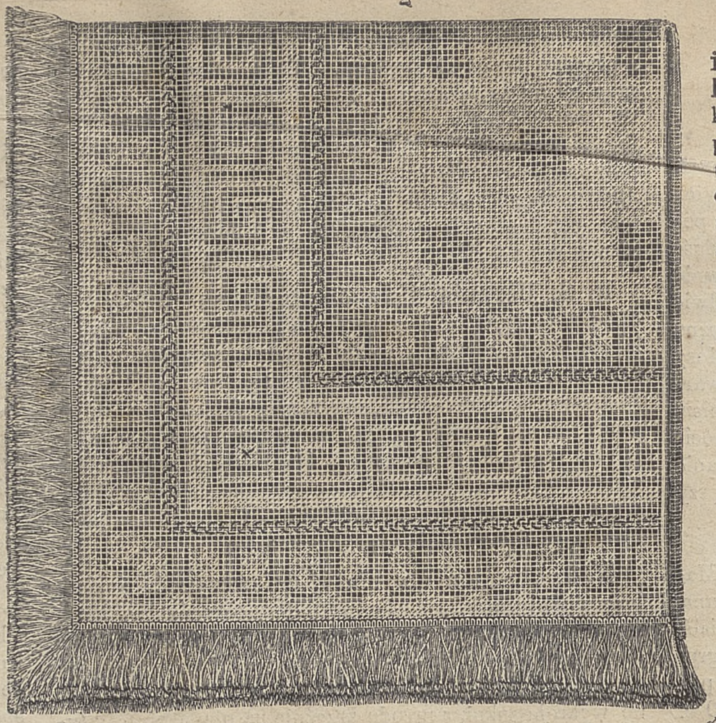
N. 10. Medaljon. Haft na skórze. Wzór na arkuszu z krojami N. XVI Figura 39—40.

N. 16 i 17. Krawatka muślinowa z końcami roboty szydełkowéj. Środkowa gałązka robi się tak samo jak do barbki od czepeczka, tylko listki są mniejsze, gdyż na środkowe kółka, potrzeba 16 o. luźnych. Szlaczek z brzegu jest, jak widzimy, z ząbków z tasiemeczki, w górze i od dołu szydełkiem obrobionych.

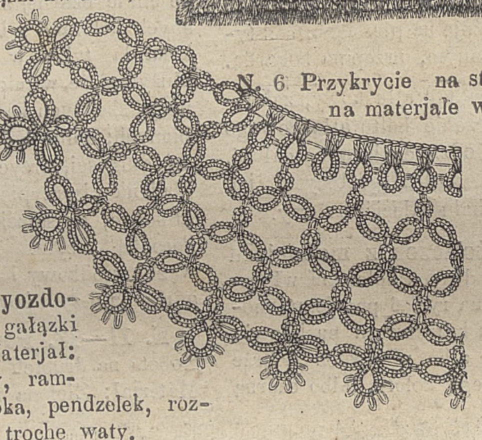
N. 22. Rękawek z muślinu, z koronką irlandzką.



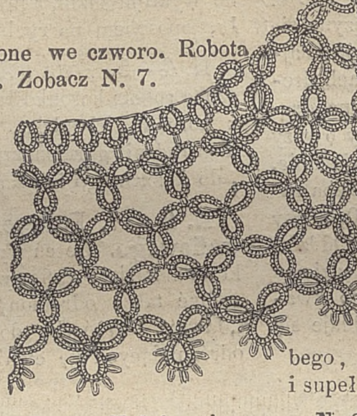
N. 7. Część szlaku do pokrycia na stolik N. 6.



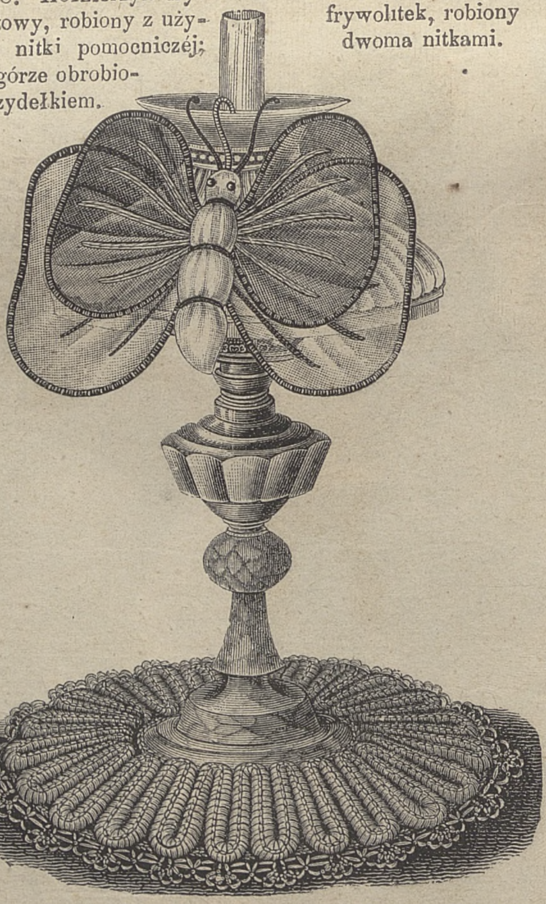
N. 6 Przykrycie na stolik złożone we czworo. Robota na materjale wafiowym. Zobacz N. 7.



N. 8. Kołnierzyk frywolitowy, robiony z użyciem nitki pomocniczéj; i w górze obrobiony szydełkiem.



N. 9. Kołnierzyk z frywolitek, robiony dwoma nitkami.

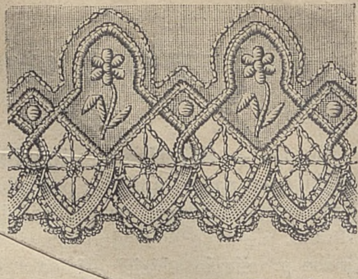


N. 12. Podstawka i przykrywka na lampę. Robota na drutach, siatkowa i fantazyjna.



N. 14. Haft na cygarnicę, pugilares i t. p.

i aplikacją haftu. Do wązkiego rękawka przyszyta falbana, ma 50 cen. obwodu 17 cen. szerokości w środku, a 9 cen. przy zeszyciu. Brzeg górny pozostaje prosty a dolny wycina się w trzy zęby, przy wykrawaniu których pamiętać potrzeba, że dwa powinny wypadać na część zwierzchnią a trzeci na spód. Zamiast koronki irlandzkiéj można wstawkę i garnirunek wyhaftować sposobem gipiurowym, lub dać z koronki „bruges”.



N. 5. Szlaczek. Koronka irlandzka i haft atłaskowy.

N. 23 — 24. Dwa szlaki do przyozdobienia kaftaników, fartuszków, i t. p.

N. 23. Obłożenie z aksamitu ozdobione ściegiem łańcuszkowym. Obłożenie z ciemniejszego aksamitu, np. z bronzowego do kamiennego koloru sukna, przyszywa się od spodu, odwraca i w maszynie ściegiem łańcuszkowym, jedwabiem koloru kamiennego wyszywa podług deseniu; następnie zbywające brzegi aksamitu starannie wycina.

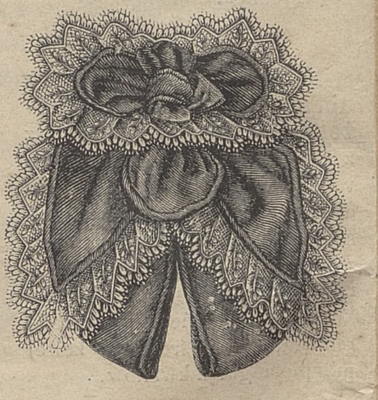
N. 24. Obłożenie z aksamitu i haft. W zęby wycięte obłożenie z ciemnego aksamitu, przymocowane jest jedwabnym perełkowym sutaszem, tegoż samego koloru. Daléj idzie wyszycie dwoma cieniami jedwabiu i kordonku grubego, ściegiem luźnym, przewłóczonym stębnówki i supełkami.

N. 25 — 28. Próbki roboty na drutach, na pelerynki, kapturki i t. p. Skrócenia: G. zamiast gładko, k. kręto, g. zg. gładko zgubić, k. zg. kręto zgubić,, pr. zg. przybrane oko zgubić, zd. p. zdjęte przełożyć, to jest: 1 oko zdjąć na drut, następne zrobić i zdjęte przez niego przełożyć, pr., przybrać 2 pr., dwa przybrać czyli 2 razy nitkę na drut założyć, a w następnym obrobieniu 1-e gładko, 2-e kręto zrobić.

N. 25. Próbka tła w paski na drutach. Łatwe a jednak ładne tło robi się tam i napowrót ciągle dwoma sposobami naprzemian.

Obrobienie 1sze. Jedno zdiąć * 2 g. 1 przy. w poprzednim obrobieniu przy. zg. 2 kr. powtarzać od gwiazdki.

Obrobienie 2-e. 1-sze zdjąć * dwa następne gładko, 2 kręto, 1 przy. 1 zg., 2 gł., 2 kr., 1 pr. 1 zgubić *.

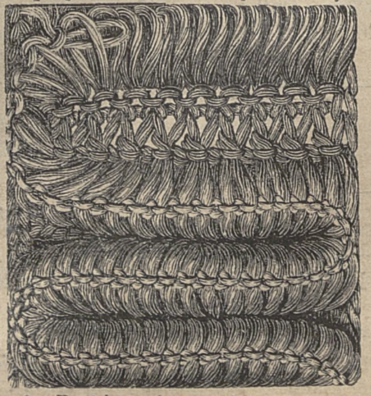


N. 11. Kokarda do kołnierzyka z crêpe de chine i koronki.

N. 26. Tło na drutach w kratę. Chcąc wzór ten wypróbować najlepiéj zacząć na oczek 25 i robić tam i napowrót następującym sposobem: Obrob. 1-e. 1 zdiąć * 1 pr., 1 gł., 1 pr., w poprzedzającem obrobieniu przy: zg., 3 gł., 1 gł. zg. od * powtarzać.

Po każdem deseniowem obrobieniu, następuje przy obróceniu roboty na lewą stronę, zwyczajne obrobienie kręte, które opuszczając podawać będziemy, tylko obrobienia deseniowe.

Obr. 3-cie. 1 zdjąć * 1 przy. 1 g. 1 pr. przy. zg. 1 pr., przy. zg., 1 gł., 1 gł. zgu., 1 zd. i prze. powtórzyć



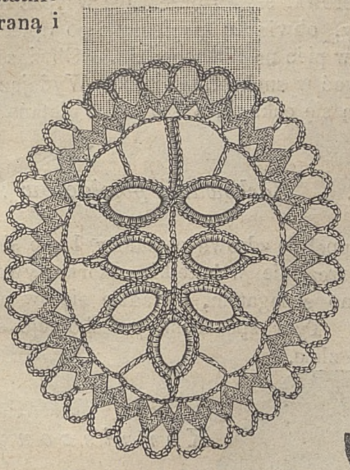
N. 13. Próbka roboty szlaku do podstawki N. 12.

od *. Obr. 5te 1 zdjąć * przy., gł. zg., przy. 1 gł. przy. zg.. pr. 1 zd., 1 g. zg., zd. i przełożyć *.

Obr. 7. 1 zd., * przy. g., zg. 1 pr., zd. gł. zg. zd., i prze. przy., pr., zg., przy, 1 gł. *. Przy 8m krętym obrobieniu dwa ostatnie (a więc nitkę przybraną i oko) razem.

Obr. 9. 1 zd.. 1 gł., * pr., pr. zgu., pr., 1 zd.. 1 gł. zg., zd., i prze. 1 pr. 3 gł. Powtórzyć od * a 2 ostatnie gładko. Obr. 10 zakończyć jak 8e.

Obr. 11. 1 zd. * pr., 1 zdjąć, gł., zg., zd. i prze., pr. 5 gł., * ostatnie 3 gładko. W obrobieniu 12tym 2 ostatnie razem kręto. Poczem wrócić do obrobienia pierwszego.



N. 16. Medaljon na koniec do krawatki ryc. 17 Robota szydełkowa i ząbki z tasiémeczki.



N. 15. Ramy do portretu przyozdobione liśćmi ze skóry. Wzór gałązki powoju w dodatku. Fig. 41.

N. 27. Wstawka na drutach. Wstawka ta zbyt jest łatwa ażeby potrzebowała opisu, dodamy tylko że na dziurki zarzucać trzeba nitkę 2 razy, a w następnem obrobieniu robić 1 o. gł. 1 kręto. Liczbę oczek zwyczajnych między dziurkami dokładnie obliczyć można na rysunku. Zacząć trzeba na ocz. 16.

N. 28. Koronka robiona na drutach. Zacząwszy na ocz. 16, robi się jak następuje: pierwsze oko każdego druta gładko, te więc w opisie opuszczać będziemy, równie jak gładkie obrobienia następujące zawsze po każdem deseniowem.

Obr. 1. Zd. pr. 4 gł. pr. przy. zgu. pr. pr. zgu. pr. p. zgu. pr. p. zgu. pr. p. zgu. 1 gładko. Po każdem obrobieniu deseniowem raz zupełnie gładko.

Obr. 3. Zd. pr. 6 gł. * pr. p. zgu, * powtórzyć jeszcze razy 3. pr. 2 gładko.

Obr. 5. Zd., pr. 8 gł. * pr. pr. zgu. * powtó. razy 3 i 2 gładko.

Obr. 7. Zd. pr. 10 gł. * pr. pr. zgu. * powtó. razy 3 i 1 gładko.

Obr. 9. Zd. pr. 4 gł. zg. gład. 2 razy pr. pr. zgu. 4 gł. pr. pr. zgu. pr. p. zgu. pr., p. zg. 2 gładko.

Obr. 11. Zd. pr. 14 gł. * pr. p. zgu * powtórzyć 2 razy 1 gładko.

Obr. 13. Zd. pr. 4 gł. 1 zg. gład. 2 pr. pr. zgu. zg. 2 pr. p. zgu. 4 gł. pr. p. zgu. pr. p. zgu. 2 gładko.

Obr. 15. Zd. pr. 18 g. pr. p. zgu, p., p. zgu., 1 gładko. Obr. 17. Zd. pr. 4 gł. zg. 2 pr. p. zgu., zg. 2 pr. p. zg., zg. 2 pr. p. zgu. 4 g. p. p. zgu. 2 gładko.

Ob. 19. Zd. 1 g. zd. i prze. pr. p. zgu. 17 g. zg. pr. 3 gładko.

Ob. 21. Zd. 1 g. zd. i prze. przy. p. zgu., 3 gł. zgu. 2 przy. p. zgu. zg., 2 prz. p. zg., 4 gł., zgu., pr. zgu. pr., 2 gładko.

Ob. 23. Zd., 1 gł., zd. i prze., pr., pr. zgu. 13 gł. zgu. pr. zgu. pr. zgu., 1 gładko.

Ob. 25. Zd., 1 gł., zd. i prze., pr., p. zgu. 3 gł. zg. 2 pr. pr. zgu. 4 gł. * zg., przy., * powtó. razy 2, 1 gładko.

Ob. 27. Zd. 1 gł. zd. i prze. pr. pr. zgu., 9 gł., * zg., pr., * powt. razy 2, i 2 gładko.

Ob. 29. Zd., 1 gł., zd. i prze. pr. pr. zg., 7 gł. * zg., pr., * pow. razy 3 i 1 gładko.

Obro. 31. Jak 29, tylko zamiast 7-iu 5 o. gł. i na końcu 2 gładko.

Ob. 33. Zd., 1. gł., zd. i prze. pr. zg. 3 gł. * zg. pr.* pow. razy 3, 1 gł., pr., 2 gładko.

Ob. 35. Zd., 1 gł., zd. i prze. pr. zgu. 1 gł., * zg., pr., * pow. razy 4. 1 zg., 1 gładko.

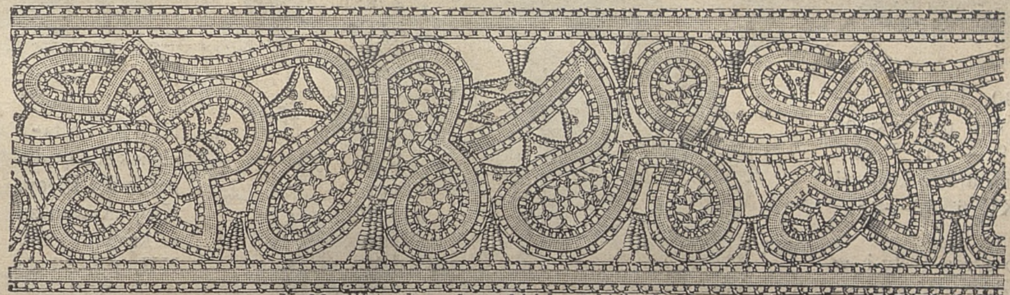
Ob 37. Zd., 1 gł., zd. i prze., pr., 1 gł., * pr., zg., przy., * pow.. razy 5, 1 gładko.

Ob. 38. Zupełnie gładko. Poczem powtórzyć od obrobienia pierwszego.

Koronka wiele zyskuje, gdy zęby obrobiemy szydełkiem, oczami ścisłemi z dodaniem pikotów, jak to rysuuek 28 wskazuje.



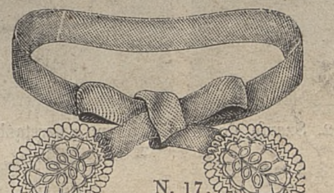
N. 18. Barbka. Robota szydełkowa i na widełkach. Do ryciny 4 i 5 w T. M. N. 41.



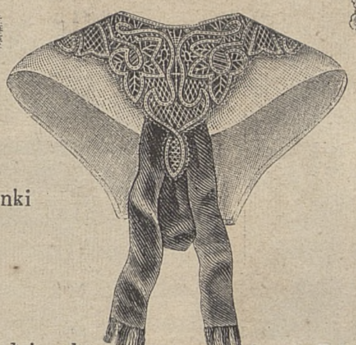
N. 19. Wstawka z koronki irlandzkiéj, do N. 20.



N. 22. Rękawek z muślinu, koronki irlandzkiéj i aplikacji haftu.



N. 17. Krawatka z końcami szydełkowemi. Zob. N. 16.



N. 21. Kołnierzyk ze spiczastemi końcami. Róg tylny. Przód w N. 41 Tyg Mód. ryc. 5.

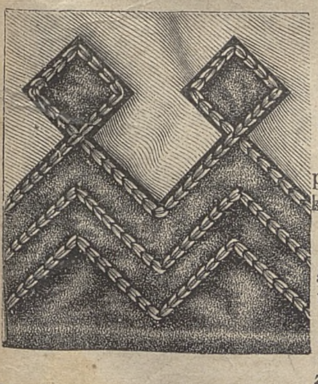


N. 20. Rękawek z koronką irlandzką. Zobacz N. 21.

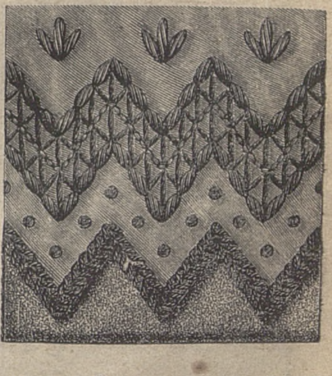
N. 29. Okrągła poduszka na kanapę.

N. 30 i 31. Kaftaniki. Krój i opis na arkuszu z krojami.

N. 32. Szarfa ułożona ze wstążki. Na kawałku sztywnego tiulu, ułożone są kokardy i końce przyozdobione frendzlą siepaną, 6 cen: szeroką. Wstążka na ten cel użyta, powinna mieć 16. c: szerokości; na wzorze dobrano ją w trzech kolorach, białym, czarnym i ponsowym. Można użyć także trzech cieni jednego koloru, lub wstążki i aksamitu czarnego.

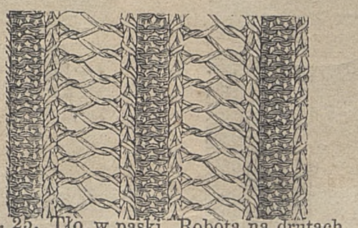


N. 23. Obłożenie z aksamitu wyszyte ściegiem łańcuszkowym do kaftaników, fartuszków itp.

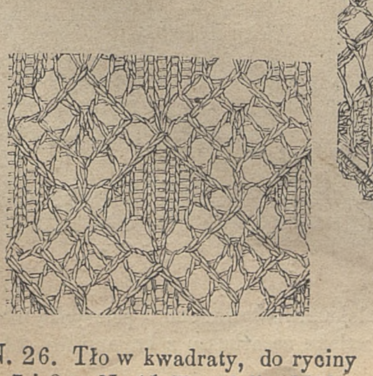


N. 24. Szlak z aksamitu i haftu, do kaftaników, fartuszków i. t. p.

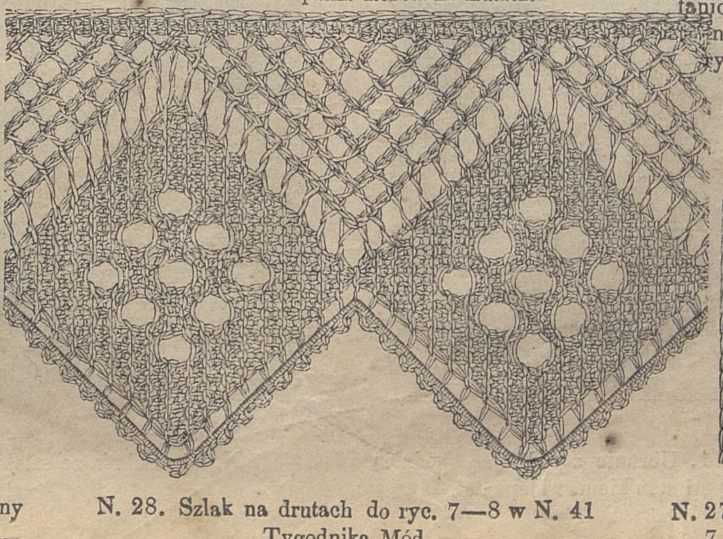
N. 33. Ubranie z tiuniką i kaftanikiem. Swieże to i właściwe na jesień ubranie, ma tiunikę i kaftanik odrobione z dwóch ciepłych i tanich chustek wełnianych, z których jedną przecina sie środkiem na dwoje; z jednéj połowy układa się z boku podpinaną część przednią, drugą fałduje się w górze i podpina w środku, ażeby część tylna układała się w dwa rogi. Z drugiéj chustki wykrawa się kaftanik, uważając ażeby szlaki i frendzla stanowiły garnirunek.



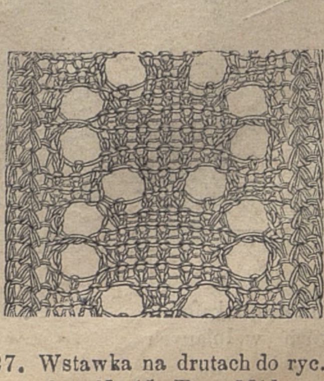
N. 25. Tło w paski. Robota na drutach.



N. 26. Tło w kwadraty, do ryciny 7 i 8 w N. 41 Tygodnika Mód.



N. 28. Szlak na drutach do ryc. 7—8 w N. 41 Tygodnika Mód.



N. 27. Wstawka na drutach do ryc. 7 — 8 w N. 41. Tyg. Mód.

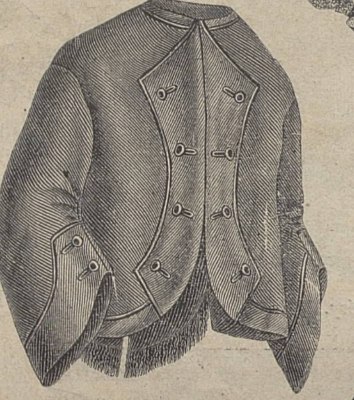
N. 34. Ubranie z podwójną spódnicą i stanikiem z klapkami. Krój ten najlepiéj nadaje się

do wszelkich miękkich tkanin wełnianych. do sukienka i materyi. Pierwsza spódnica gładka i powłóczysta, druga jest z przodu krótka z tyłu przedłużona, oszyta plisą aksamitną i piękną wełnianą frendzlą, które mogą być tegoż co suknia lub ciemniejszego koloru. Patki przy rękawach, pas, szarfa i wykładane klapki przy staniku są także z aksamitu.

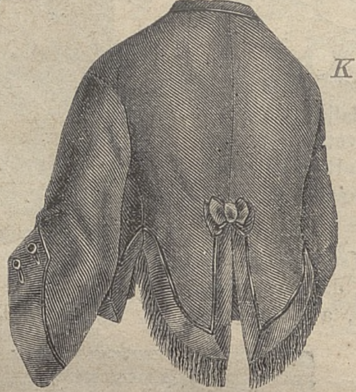
N. 35. Suknia ze szlaczkiem haftowanym. Deseń szlaku na dodatku z krojami Fig. 24. Tunika i do paska przyszyty karoczek są oszyte plisowaniem 5 i 8 cent. szerokiem. Szlak wyszywa się włóczką ciemniejszego odcieniu ściegiem długim. Tiunika mieć powinna 240 cent. obwodu i być krajana razem ze stanikiem, tylko z tyłu dodaje się dwa proste 70 cent. szerokie bryty. Karoczek podszyty muślinem sztywnym, powinien mieć 22 cent. długości a 67 cent. szerokości. Dolne końce są zaokrąglone, u góry do 30 cent. sfałdowany i do paska wszyty. Czarna koronkowa pelerynka krzyżuje się na piersiach, a długie końce z tyłu związane, zastępują szarfę.



N. 29. Okrągła poduszka do kanapy. Robota dziergana. Czwarta część deseniu na arkuszu z krojami fig. 23.



N. 30. Kaftanik luźny, dla panienki od lat 9 — 11. Przód. Krój na ark. z krojami N. XII fi. 33—35.



N. 31. Kaftaniczek luźny dla panienki. Plecy. Krój na arkuszu z krojami Nr. XII. fig. 33 do 35.



N. 32. Szarfa do sukni ułożona ze wstążki.

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

Gruszki marynowane do pieczystego.

Kopę gruszek panien, albo bergamot nieprzejrzałych, po obraniu ze skórki zostawiwszy ogonki, wrzucają się w całości do zimnéj wody. Dwie kwarty octu zagotować w dużym rondlu z pięcioma funtami cukru, zrobić z tego syrop gęsty i w nim zagotować na wolnym ogniu gruszki, póki nie nabiorą koloru czerwonego, dodawszy do nich skórek pomarańczowych. Jak ostygną, ułożyć w garnek kamienny i zalać syropem aby gruszki pokrył.

B o r ó w k i.

Borówki czysto przebrane wsypać w garnek nowy gliniany, obwiązać papierem i po upieczeniu chleba wstawić w piec na kilka godzin. Obwiązać pęcherzem i zachować w suchem miejscu. Wydając na stół, przyprawiają się cukrem, a kto lubi śmietaną i cynamonem.

Zachowanie pomidorów na zimę.

Zupełnie zdrowe pomidory łupie się w kawałki, upycha szczelnie w butelki, zakorkowywa, owiązuje bardzo mocno szpagatem, i kładzie się w piasek korkami na dół. Tym sposobem przechowuje się pomidory przez całą zimę.

A. B.

K o r n i s z o n y.

Czysto opłukać, osączyć z wody na sicie, póżniéj osolić na misce i zostawić przez noc. Na drugi dzień obcierają się korniszony, wrzucają do gotującego się octu, aby zawrzały z łyżeczką od kawy saletry i niepełną łyżeczką ałunu, do dwóch kóp średniéj wielkości korniszonów, co się powtarza jeszcze przez dwa dni w tym s a m y m o c c i e. Czwartego dnia zagotowywa się świeży najmocniejszy ocet z łyżeczką saletry, odrobiną ałunu i zalewa nim korniszony.

Do przesypania korniszonów służy szabelbon obgotowany i szarlotka oraz mały korzonek pieprzu tureckiego. Obwiązać pęcherzem i zachować w suchem miejscu.



N. 33. Ubranie z tuniką i kaftanikiem, zrobione z dwóch wełnianych chustek.

N. 34. Ubranie z podwójną spódnicą i stanikiem z klapkami.



N. 35. Suknia ze szlakami haftowanemi i pelerynką koronkową. Deseń szlaku na arkuszu z krojami fig. 24.

Dodatek do Nr. 40 i 41 Tygodnika Mód w Warszawie.

1871 roku

Nr. I Płaszczyk z kapturkiem od deszczu dla dam.

Rycina nr. 31 i 32 w nr. 41 Tygodnika Mód.
Fig. 1 Połowa płaszczyka. (A, B, C).
Fig. 1-a Zmniejszone wyobrażenie połowy płaszczyka.
Fig. 2 Połowa kapturka. (B, C, *).

Figura 1 podaje krój górnej połowy, i wskazuje długość i szerokość dolnego obwodu płaszczyka, odrobionego z materjału popielatego nie przemakalnego. Model ten tylko skośnym szwem tylnym, różni się od zwykłej talmy. Mały wzór fig. 1-a, dokładnie wskazuje tę mało znaczącą różnicę; narysowana jest także na nim linja prosta i skośna, stopniowo od góry ku dołowi o 15 cent. zwężona. Odznaczona jest także na nim miara krótkiej talmy, której opis podamy w jednym z następujących numerów.

Figura 2 daje formę kapturka, którego rysunek przedstawia nr. 3, który w górze podług znaków powinien być zmarszczony, a podług liter, do płaszczyka z małym stojącym kołnierzem wszyty. Stosownie do gustu, można środek kapturka wyłożyć aksamitem lub rypsem jedwabnym, lub tak jak na naszym wzorze, obłożyć wywinięcie kapturka materją. Wyłożenie środkowe jest na fig. 2 linją oznaczone. Podwójną stębnówką przyszyte ząbki czarne sukienne 1 cent. szerokie przyozdabiają brzeg wyłożenia kapturka; u dołu płaszczyk oszyty jest plisowaną falbaną 7 cent. szeroką, i czarną stębnowaną plisą 4½ cent szeroką, która zdobi także przody, na rogowe guziki zapinane.

Nr. II Fartuszek z rękawami dla dziewczynki od 3—5 lat.

Rycina nr. 6 w nr. 41 Tygodnika Mód.
Fig. 3 Połowa przodu. (D, E, F, G, H, K).
Fig. 4 Plecy. (D, E, F, G, I).
Fig. 5 Połowa kołnierza. (H, I).
Fig. 6 Rękaw. (K, L).

Fartuszek z tyłu zapinany, z batystu écru, odznacza się niezwykłą formą. Przód podług fig. 3 prosto i równo ukrojony, przecina się w poprzek w pasie, górna część zaszywa się podług figury, w stębnowane zakładki; dolna zakłada z boków w 2 głębokie kontrafałdy. Zeszycie z sobą tych dwóch części, pokrywa pasek 1½ cent szeroki, ściegiem cierniowym wyszyty. Brzegi podłużne pleców zaobrębiają się szeroko, góra od gwiazdek układa w fałdy. Kołnierzyk z tyłu na guziczki zapięty, przyszywa się do wązkiej listewki i dopiero, jak wskazują litery, przyczepia do wykroju fartuszka. Tak ten ostatni jak patki u rękawów i skośnie od ramienia do dołu przechodzące z przodu naszycie; robi się ze wstawki na białym batyście haftowanej, mającej z brzegów kratkę ażurową i z haftowanego szlaczku. Dół fartuszka zakończa obręb 6½ cent. szeroki, na którym w górnej połowie dane 3 stębnowane zakładeczki. Kolorowe wstążki lub szarfki z tego co fartuszek materjału, przyszyte z boków do przedniej listewki, wiążą się z tyłu na kokardę z końcami.

Nr. III Fartuszek kuchenny z napierśnikiem, oszyty ząbkami z tasiemeczki, dla osób dorosłych.

Rycina 15 w nr. 41 Tygodnika Mód.
Fig. 7 Połowa bryta przedniego. (M, N).
Fig. 8 Klin boczny. (M, N).
Fig. 9 Połowa napierśnika.

Podług fig. 7—9 przykrojone pojedyncze części fartuszka, obrąbia się najpierw stębnówką, potem łączy z sobą wstawką z ząbków z tasiemeczki. Kliny boczne przy zeszyciu, obracają się brzegiem prostym na zewnątrz, a skośne brzegi schodzą się ze sobą. Ponieważ wstawka ozdabiać powinna napierśnik, przecina go się więc podług rysunku na 3 części, obrębia stębnówką i łączy ząbkami. Falbanka 2 cent. szeroka, ząbkami oszyta, i cokolwiek na sznureczku nad marszczona, otacza fartuszek i napierśnik. Pasek także składa się z dwóch stębnowanych listewek 1 cent. szerokich, wstawką z ząbków połączonych.

Nr. IV Gorset.

Rycina 11 i 12 w nr. 41 Tygodnika Mód.
Miara połowy szerokości 38 c. w górze, a 28 c. u dołu.
Fig. 10 Przód. (O, P, Q, R, S, U).
Fig. 11 Pierwszy klinik na piersi. (O, P, Q).
Fig. 12 Drugi klinik na piersi. (R, S, T).
Fig. 13 Bok. (T, U, V, W, X, Y, Z).
Fig. 14 Cwykiel dolny przedni. (V, W, X).
Fig. 15 Plecy. (Y, Z)
Fig. 16 Cwykiel dolny do pleców.

Rycina 11—12 przedstawia dwa gorsety jednej formy odrobione z odmiennego materjału. Podany z przodu nr. 11, jest z drelichu białego, cały na podszewce z brzegami niebieską materją objętemi. Wszystkie stębnówki i zaszycia rogów, na formie linjami oznaczone, odrabia się jedwabiem niebieskim. U góry oprócz oszycia koronką daje się wstawka z frywolitek, naszytych na niebieskiej wstążce. Nr. 12 odrysowany z tyłu, odrobiony jest z mory jedwabnej popielatej, kordonkiem pąsowym, z takimiż jedwabnemi wypustkami. Cwykle [illegible], krają się skośno i wymagają wielkiej akuratności i uwagi na znaki, przy wszyciu. Ażeby gorset zbytecznie się nie rozciągał, przystębnowywa się przez plecy w pasie z lewej strony proste podłożenie 3 cent. szerokie.

Nr. V Kołnierzyk z wywiniętemi końcami i odpowiednie szerokie rękawy. Haft gipiurowy.

Rycina nr. 23 w nr. 41 Tygodnika Mód.
Fig. 17 Połowa kołnierzyka wraz z deseniem.
Fig. 18 Połowa rękawa wraz z deseniem.

Do stanika gładkiego z podłużnym wykrojem pod szyją, kołnierzyk z wykładanemi końcami, odrobiony haftem gipiurowym podług fig. 17, z tyłu ma tylko przyszytą do prostego muślinowego paska, marszczoną koroneczkę. Rękawy sukni, nie dostające do ręki i tylko cokolwiek od łokcia rozszerzone, oprócz odpowiedniego stanikowi garnirunku, z riuszy na dwie strony i szerokiej stębnowanej plisy złożonego, mają podszyte rękawki muszlinowe, haftem gipiurowym zakończone, w górze przymarszczone i w pasek wszyte. Kokarda przy kołnierzyku i przy włosach, robi się z kolorowej wstążki lub crêpe-de-Chine.

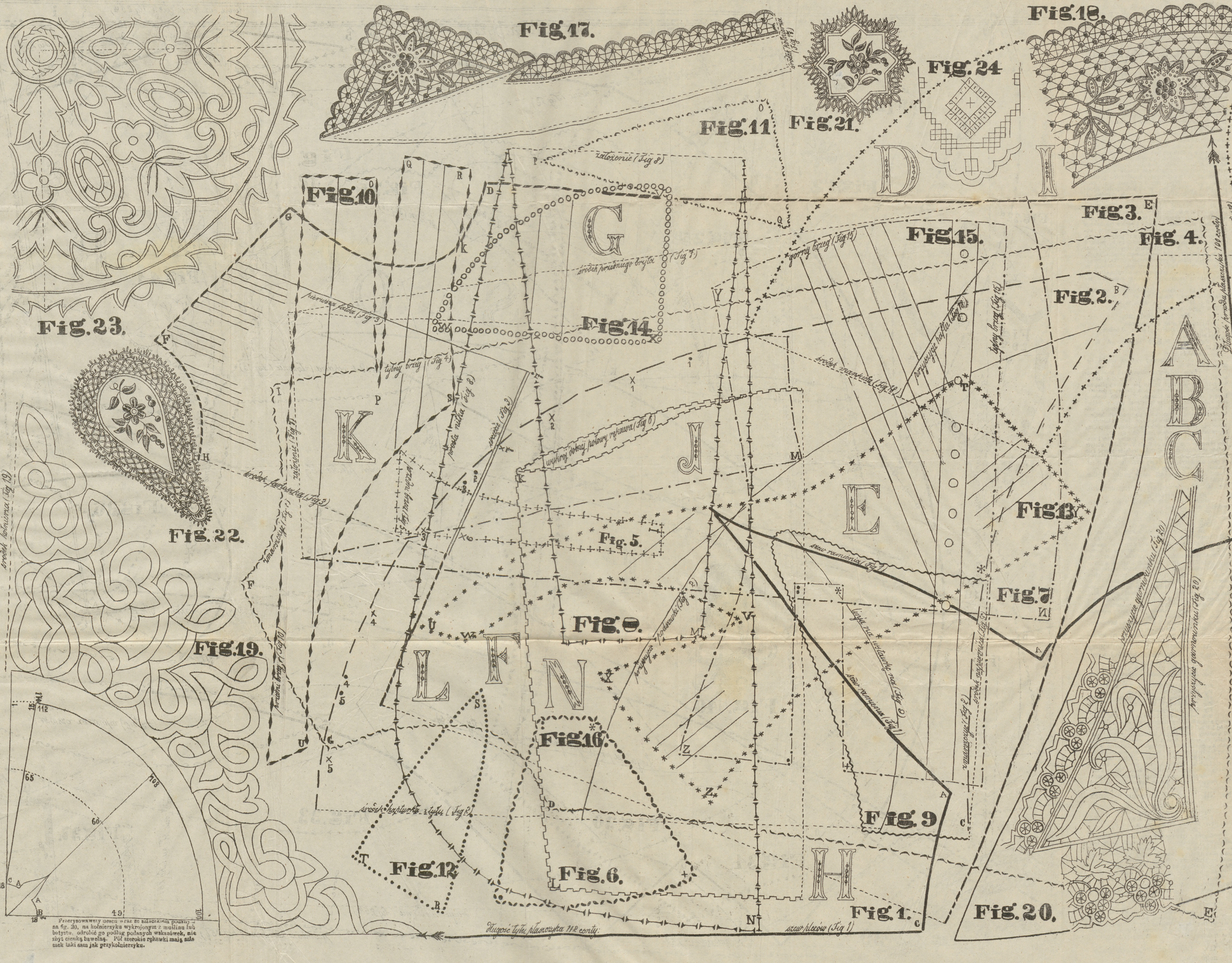
Nr. VI Kołnierzyk śpiczasty. Koronka irlandzka.

Rycina 24 w nr. 40 i ryc. 5 w nr. 41 Tygod. Mód.
Fig. 19 Połowa kołnierzyka wraz z wzorem haftu.

Rycina 19 podaje połowę formy kołnierzyka, i deseń na wyszycie tasiemeczki. Rycina zaś 19 w nr. 40 Tyg. i rycina 9 w nr. 41 służyć mogą na falbanę i wstawkę do rękawka. Rozumie się samo przez się, że jednakowe rodzaje kratek i ściegów, użyte być powinny przy kołnierzyku i rękawkach. Rycina 5 w Tyg. 41 przedstawia przednie rogi kołnierzyka, i mankietki do rękawów obcisłych; rycina 21 w Tyg. 40 przedstawia kołnierzyk z tyłu, wraz z krótką szmizetką do której jest przyszyty. Falbana przy rękawku nr. 20, ma 52 cent. długości, wstawka zaś do której ją się przyczepia krzyżowaną kratką, jest 32 cent. długa i wstążką kolorową podłożona. Ażeby bufa tiulowa wydawała się klarownie, naszywa ją się na pojedynczym 12 cent szerokim pasku tiulu. Zręczna kokarda z kolorowej wstążki przypięta jest na wstawce.

Nr. VII Kołnierzyk szmizetkowy z haftem gipiurowym.

Rycina 22 w nr. 41 Tygodnika Mód.
Fig. 20 Forma połowy kołnierzyka wraz z deseniem.



Przerysowawszy deseń wraz ze szlaczkiem podany na fig. 20, na kołnierzyku wykrojonym z muślinu lub batystu, odrobić go podług podanych wskazówek, nie zbyt cienką bawełną. Pół szerokie rękawki mają szlaczek taki sam jak przy kołnierzyku.

Nr. VIII Poduszka do śpilek. Haft atłaskowy i frywolitki.

Rycina 16 w nr. 41 Tygodnika Mód

Fig. 22. Część środkowa wraz z rysunkiem.

Fig. 22. Patka wraz z rysunkiem.

Materjał: Kolorowa materja, mocny szyrtyng na podszewkę, cienki muślin lub batyst prawdziwy, cienka bawełna do haftu, bawełna na kłębuszkach nr. 200.

Poduszeczkę zeszywa się z dwóch kawałków podszewki, mających 18 c. w kwadrat, które przed zeszyciem ścina się w 8 em 2 c: głębokie zaokrąglone zęby, w ten sposób iż 4 zęby środkowe mają 5 c: szerokości, reszta zaś idzie na 4 zęby narożne i zaokrąglone wcięcia. Po zeszyciu wyściela się poduszeczkę otrębami i pokrywa z obydwóch stron materją w jasnym kolorze. Widoczne na rysunku bufowanie, naszywa się z pasków materyj 4 c. szerokich, z brzegów zmarszczonych, w poprzek 3 razy frywolitkami przepinanych. Na kółko środkowe i patki, figu: 21—22 podaje nie tylko naturalnej wielkości wzór i deseń, ale i szlaczek z frywolitek, który powinien być do tła przydziergany.

Patki haftowane w ten sposób są na poduszeczce urządzone, iż frywolitki przykrywają, przyszycie bufek. Szlaczek dany około środkowego kółka, składa się z podłużnych frywolitowych listków, za boczne pikoty połączonych i górnych płaskich łuków, do których roboty potrzebna jest nitka pomocnicza. Jak widziemy na rysunku, wielkość listków i łuków nie jest równa; na mniejsze więc listki robić potrzeba 2 pod: wę:, 1 p: 5 pod: wę: 1 p:, 3 pod: wę, 1 p:, 3 pod: wę: 1 p:, 5 pod: wę: 1 p: i 2 pod: węzełki. Środkowe większe listki z obydwóch stron górnego pi: zamiast po 3 mają po 5 pod: węzełków. Na najmniejsze łuki łączące listki daje się 6 pod: wę: przedzielonych pikotem w środku, na większe 8. a na największe 10, także pi: przedzielonych. Szlaczek około patek składa się z płaskich łuków i węzłów (na każden taki węzeł daje się 8 węz: pojedynczych, w jedną stronę wiązanych,) zacząć od * 1 łuku z 16 pod: wę:, w równych odstępach 3-ma pi: przedzielonych, potem 4 wę: i znów od *. Drugi zewnętrzny rząd łuków składa się także z 16 pod: wę: 3-ma pi: przedzielanych, połączonych piko: z poprzedzającemi. Łuki zewnętrzne od strony haftu są nierównej wielkości, tu więc jak i przy łukach zakończających koniec śpiczasty patki, własną zręczność i wprawa musi opis zastępić.

Fig. 23 Czwarta część deseniu na poduszkę. Robota dziergana. Rycina 29 w nr. 40 Tygo.

Fig. 24 Deseń do wyszycia na sukni. Rycina 35 w Tygodniku nr. 40

Nr. IX. Beduina,

Rysunek 26 w nr. 41 Tygodnika

Fig. 25 A. Odcinany przód od beduiny. A, B, dwa założenia.

Fig. 25 B. Plecy do beduiny. A' B, C, D, E, F,

1-no założenie.

Fig. 25 Miniaturowy rysunek całości fig. 25 A. i fig. 25 B.

Ten rodzaj beduiny odrobiony być musi z materjału miękkiego, wełnianego. Nasz model z lekkiekiego repsu popielatego, oszyty jest szeroką plisą aksamitną i frendzlą jedwabną, oraz przybrany pasmanterją w tymże samym kolorze. Z powodu znacznej szerokości, forma beduiny musi mieć przody osobno podane lubo przecięcie idzie zupełnie prosto, i z materjału odpowiedniej szerokości powinno być krajane razem. W długości dane są także dwa założenia. Jasne wyobrażenie obydwóch części, złożonych podług odpowiednich liter, podaje mały wzór fig. 25.

Dwie takie części potrzeba podług liter i znaków razem zeszyć potem od E. do T. w fałdy ułożyć; dodaną szerokość od 5—7 w kontrafałdę zaszyć i do poprzednich złączyć, potem pasmanterję naszyć. Dolną część nie zeszytą okłada się aksamitem aż do fałdowania. Prosty stojący kołnierzyk jest z kawałka aksamitu; przody zapinają się na guziki i pętlice szmuklerskie.

Nr. X. Stanik pod szyję z karoczkiem.

Rycina 24 w nr. 41 Tygodnika.

Miara połowy objętości. 48c: w górnej, 33 c: w dolnej części stanika.

Fig. 26 Przód. (G, H, N, O, *,)

Fig. 27 Boczek. (G, H, I, K, L, M,)

Fig. 28. Połowa pleców (I, K, L, M, N, O,)

Nasz wzór przedstawia suknię z niebieskiego jedwabnego repsu, w dwóch odcieniach. Gładka suknia powłóczysta, wązkie rękawy i naszycia kamizelkę naśladujące, (które linją oznaczone są na formie) są z materyj ciemniejszej, zaś okrągła tiunika, mająca z przodu 70 brytów tylnych 90 c: długości, a 270 c: dolnej szerokości, jako też stanik z karóczkiem i zwierzchnie szerokie rękawy są z materyi jaśniejszej. Garnirunek składa się z frendzli jasnej jedwabnej $4^1/_2$ c: szerokiej, z plis $2^1/_2$ c: szero: jedna na drugą zachodzących, na przemian z materyi jasnej i ciemniejszej i z riuszy jaśniejszego koloru 3—4 c: szerokiej brzegiem wysiepanej. Stanik na jasne materjalne guziczki zapinany, przyozdobiony jest z tyłu i z przodu w pasie, rozetą ułożoną w ślimak na kółku z tiulu sztywnego, na przemian z dwóch skośnych kawałków, materyi jaśniejszej i ciemniejszej siepanej.

Wykrój koło szyi zakończony małym kołnierzykiem stojącym, z materyi jasnej.

Nr. XI. Kaftanik trochę do figury wcinany z kołnierzem wykładanym.

Rycina 1—2 w nr. 41 Tygodnika.

Fig: 29 Przód. (P, Q, R, S, T, V,)

Fig. 29a Mała foremka przodu i połowy kołnierza.

Fig. 30 Połowa pleców. (P, Q. R, S, T, U')

Fig. 30a Mała foremka pleców.

Fig. 31 Połowa kołnierza wykładanego (T, U)

Fig. 32 Rękaw (V, W, X, Y,)

Fig. 32a Mały rękaw.

Ryc: 1—2 podaje z przodu i z tyłu tejże samej formy kaftanik, który odrobiony być może z flanelki białej lub kolorowej, z kaszmiru, repsu, tybetu albo też z materyi, z obłożeniem, kołnierzem, patkami i guzikami z czarnego aksamitu; te ostatnie mogą być także z tego co kaftanik materjału, z dodaniem w koło wypustki aksamitnej. Pomimo oznaczenia na formie, dodamy jeszcze, że plecy wraz z dolną fałdowaną częścią krają się łącznie, poczem plecy się zeszywa a dolną zbywającą część układa w kontrafałdę, na której jak widziemy, dana jest patka aksamitna i guzik. Pokrywająca zeszycie pleców kontrafałda, daje się z osobnego i przyczepia krytym ściegiem.

Nr. XII. Kaftanik luźny dla panienek od lat 9—11.

Ryc: 30—31 w nr. 40 Tygodnika

Fig. 33 Przód. (a, b, c, d, e,).

Fig. 34 Połowa pleców. (a, b, c, d,)

Fig. 35 Rękaw. (e, f,)

Zręczny z tyłu i boków rozcinany kaftaniczek, odrobiony z czarnego wełnianego repsu, użyty być może do każdej kolorowej spódniczki. Dwa cen: szeroka plisa dolna, zakończona u góry wypustką atłasową bez szaureczka. Wyłogi z przodów i przy szerokich rękawach, są na fig. 33 i 35 oznaczone.

Przyozdabiające je guziczki są z czarnego atłasu a ruloniki atłasowe oznaczają dziurki. Czarna jedwabna frendzla tylko tylną część oszywa.

Nr. XIII. Napierśnik do fartuszka

Rycina 14 w nr. 41 Tygodnika.

Fig. 36 Połowa napierśnika.

Pliski z białego perkalu 3 i 4 c: szerokie, parę razy przestębnowane stanowią garnirunek fartuszka z szarego batystu. Ramiączka przy napierśniku, stanowią proste pasy batystu, wraz z pliskami mające około 6 cen: szerokości, z przodu przyszyte, z tyłu do paska przypięte.

Nr. XIV. Czółko do czepeczka podanego w nr. 39 Tygo: rysu: 25.

Fig. 37 Połowa czółka

